CZERWIEC
1913 ROKU

ROK II
ZESZYT VI



LITWA I RUŚ

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY
KULTURZE, DZIEJOM, KRAJOZNAWSTWU
I LUDOZNAWSTWU

POD REDAKCJĄ JANA OBSTA

PRZY WSPÓŁUDZIALE FR. RAWITY-GAWROŃSKIEGO.

CENA ZESZYTU KOP. 60

WILNO
DRUKARNIA WYDAWNICZA JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

TREŚĆ:

Wydawca FELIKS ZAWADZKI. Redaktor JAN OBST.

WARUNKI PRZEDPŁATY:

	w Wilnie	na prowincji	za granicą
rocznie	Rb. 6.—	Rb. 7.—	Rb. 8.—
½ rocznie	„ 3.—	„ 3.50	„ 4.—
kwartalnie	„ 1.50	„ 1.75	„ 2.—

Wysyłamy także za zaliczeniem pocztowem. Na koszt zaliczki doliczamy 25 kop.

Listy w sprawach prenumeraty i pieniądze adresować należy: Do Administracji miesięcznika Litwa i Ruś, Wilno, ul. Suworowska Bernardyńska 3.

Adres Redakcji: Wilno zaułek Zamkowy N-r 11.

Około kwestji Białoruskiej.

I.

Jakkolwiek narodowość przeważnie choć nie wyłącznie zasadza się na odrębności języka, a ta ostatnia sięga początków ludzkości, samo pojęcie *narodowości* skrystalizowało się dopiero w XIX wieku.

Starożytność jej nie znała. Ojczyzną było państwo a ono tak dalece pochłaniało człowieka, że na inne aspiracje miejsca nie było. Wszystko co było nie swojem, obcem, tem samem stawało się wrogiem.

Tym tylko ciasnym poglądem wytłumaczyć można fakt, że mała Grecja, mówiąca jednym językiem, żyjąca wspólną kulturą, czcząca tych samych bogów podzielona była na małe państewka, które w ciągłej pozostawały rywalizacji, długie nieraz prowadząc wojny.

Niekiedy tylko, wobec wspólnego wroga, jak podczas wojen perskich obudzało się poczucie współplemienności, co bywa zaczątkiem narodu, ale trwało ono krótko, antagonizmy państwowe odżywały, i dzięki nim mogła Macedonja tak łatwo ujarzmić cały półwysep grecki.

Panowanie Grecji nad Azjatyckim Wschodem za Aleksandra W. i jego bezpośrednich następców zbyt krótko trwa-

ło, — skutków więc tego podboju i stosunku do ujarzmionych ludów zbadać nie możemy; ale dzieje Cesarstwa Rzymskiego są nam dość dokładnie znane.

Wiemy, że Rzymianie od podbitych przez siebie ludów żądali tylko podatków, żołnierza i niewolników, — że ludy te przez prokonsulów rzymskich wyzyskiwane i ciemiężone nieraz bywały okrutnie, ale nikt do wnętrza ich duchowego życia nie sięgał, nikt ich religji ani języka nie prześladował. Owszem Panteon gościnnie wrota swe otwierał bóstwom wszystkich ludów, stawiając posągi Fenickiej Astarte i egipskiej Izydy— obok rodzinnych Jowisza i Westy.

Przymusu szkolnego oczywiście być nie mogło, ale ludy same dobrowolnie garnęły się do cywilizacji rzymskiej, wiedząc, że tą tylko drogą potrafią zdobyć dla siebie prawa i przywileje obywatelstwa rzymskiego. Że zaś same nie posiadały ani piśmiennictwa ani kultury, bez skargi, bez ubolewania przyjmowały łacińską, jako bardzo dla siebie korzystną.

II.

Chrystjanizm objąwszy spadek po pogańskim Rzymie, począł tworzyć nowe państwa z ludów barbarzyńskich, które idąc ze wschodu osiadały na gruzach dawnego rzymskiego imperjum. Nie były to jeszcze właściwie narody, ale tylko materjał, z których się one tworzą: szczepy, rasy, ludy.

Kościół je chrzcił i cywilizował. Benedyktyni jedną ręką karczowali lasy, prowadzili pługi, zakładali miasta, drugą przepisywali rękopisma, wznosili kościoły, przy nich szkoły, i w nich uczyli.

Tu bodaj narzucić się musiało pytanie w jakim języku nauczać te różnorakie szczepy, pomieszane z resztkami łacińskiej kultury, z których każdy mówił swoją własną, pierwotną, niewyrobioną gwarą, a żaden nie posiadał nawet zaczątków alfabetu?

Oczywiście nie było czasu ani możności takowy tworzyć i trzeba było z konieczności trzymać się w szkole jednego, powszechnego kulturalnego języka łacińskiego — porozumiewając się w początkach z uczniami ich rodzimem narzeczem.

Przy grupowaniu się w naród kilku szczepów silniejszy

zwykle bierze górę, nadaje imię państwu (jak Frankowie, Polanie), a język lub narzecze, którego mowa nabiera znaczenia państwowego, który z czasem staje się narodowym. Inne narzecza wchodzące w skład organizmu państwowego albo zupełnie weń wsiąkają i nikną jak np. u nas Jadźwingowie [1]) albo pozostają w charakterze domowego nie roszcząc pretensji do równych z państwowym przywilejów (jak Kaszubski w Polsce, Bretoński we Francji, Wallijski—w Anglji).

Tak było przez wieki wieków nawet z językami narodów ukonstytuowanych w państwa kulturalne we Francji, Niemczech, Włoszech, w Polsce, u których język łaciński długo był używany w świecie naukowym, w dyplomacji, i w stosunkach międzynarodowych, a nawet grał rolę ogólnie języka wykształconych osób, zanim nowożytne nie wyzwoliły się z pod jego wpływu.

Bez wątpienia jednak duchowni w naukach swych i przemówieniach do ludu stosowali się do gwary owieczek swoich, jak matka do szczebiotu dzieci zwłaszcza na prowincji.

Do dziś dnia w najbardziej jednolitej narodowościowo Francji, w narzeczach katechizują księża w Bretanji, Prowancji, w kraju Basków i Bearnezyków, — tak samo jak w Niemczech (plattdeutsch, niederdeutsch).

Czy na Litwie i Białej Rusi było inaczej? Nie mamy żadnej racji tego przypuszczać.

---

[1]) O Jadźwingach pisze Długosz, że religją i obyczajami podobni byli do Litwinów, Żmudzinów i Prusaków, a Miechowita, lekarz nadworny Zygmunta I i dziejopis świadczy, że za jego czasów mówiono jeszcze językiem Jadźwingów, koło Drohiczyna na Podlasiu. Mowę ich litewską nazywa, twierdzi jednakże, że Jadźwinga mówiącego swoim językiem Litwini nie rozumieją.

Mieszkali oni nietylko na Podlasiu, ale jak podaje Naruszewicz, zajmowali część województwa Brzesko-Litewskiego, część Ziemi Chełmskiej, województwa Wołyńskiego, część Nowogródzkiego z Nowogrodzkiem, jak świadczy Stryjkowski — nadto zajmowali część mińskiego i Ziemi Łukowskiej. Staczali srogie bitwy z polakami, i dla zabezpieczenia się od ich napadów od strony mazowieckiej wzniesiono obronny zamek Liwski.

Dziś z Jadźwingów zaledwie nazwa pozostała, choć o prześladowaniu ich śladu niema w dziejach.

III.

Nawracaniem tych krain zajęły się te same zakony Franciszkanów, Dominikanów, Jezuitów, tym samym natchnione duchem, tą samą przejęte gorliwością, z jaką po dziś dzień jadą za morze uczyć się narzeczy murzynów i hotentotów aby się z nimi porozumiewać.

Wprawdzie po kilku wiekach pracy misyjnej i kapłańskiej nie zostawili nam ani katechizmów ani książek do nabożeństwa w narzeczu białoruskim, ale i polskie zaledwie w XVIII wieku rozpowszechniać się zaczęły, a sztuka i potrzeba czytania w całej Europie nie przeniknęła była do warstw ludowych.

Dziś w epoce rozpowszechnienia oświaty ludowej, rozwoju szkolnictwa wynajdywania coraz to lepszych metod nauczania, — dziś kiedy obowiązkowa nauka i przymus szkolny zaliczają się do postulatów nowożytnego państwa, — kiedy procentem analfabetów mierzy się stopień kultury danego kraju, — dziś, powiadam, trudno bezstronnie ocenić czasy i warunki, tak od nas różne, trudno nie uledz pokusie przenoszenia obecnych wymagań i stosunków do zamierzchłej przeszłości.

Nie dziw, że tej pokusie ulegają ludzie pracujący nad wskrzeszeniem narodowości, nad wyrobieniem języka, który dotychczas nie zajął odpowiedniego ich patrjotycznym żądaniom stanowiska, w ogólnym dorobku dziejowym.

Takiemi narodowościami są u nas litwini i białorusini. Porównywując potęgę Litwy z czasów Witoldowych, ze szczupłym obecnym stanem posiadania, spotykając nazwy litewskie w miejscowościach gdzie obecnie niema ani jednego człowieka rozumiejącego po litewsku, wyprowadzają dwa wnioski: jeden skądinąd prawdopodobny, że ten zakątek ziemi musieli kiedyś zdobyć lub zamieszkiwać ich przodkowie, i drugi, zupełnie nielogiczny, że trzeba wpływ litewski *per fas et nefas* wskrzesić, a polaków usunąć bez względu na kilkowiekową tradycję dziejową — bo oni Litwę zabili.

Gorączka z jaką zabrali się do tej pracy, przypomina pośpiech pasażera, który przybywa na pociąg, na parę minut przed jego odejściem. Znajduje wszystkie miejsca zajęte, ale

jechać postanowił koniecznie, pcha się więc przebojem, depce po nogach pasażerów, rzuca im tłomoki swoje na kolana, czem naturalnie wywołuje z ich strony protesty i reklamacje, a nawet i bójki, jeśli natrafi na mało kulturalnych ludzi. Ale on na to nie zważa wcale, bo jechać musi, choć może czuje w głębi ducha, że właściwa wina leży po jego stronie, bo się spóźnił, a pasażerowie Bogu ducha winni, że zajęli miejsce próżne i że są w swojem prawie.

Otóż prowodyrowie ruchu litewskiego widząc, że zależeli pole cywilizacji i stracili kilka wieków, chcą tę stratę jak najprędzej powetować.

U białorusinów tej świadomości niema, i kwestja odrębności ich języka i narodowości zaledwie budzić się zaczyna. Ale ta garstka inteligientów, nie z ich sfery pochodząca, co ruch ten zapoczątkowała występuje z pretensją do polaków, współrodaków swoich, że stłumili kulturę białoruską, którą wskrzesić zamierzają.

Tak jeden z nich piszący pod pseudonimem *Antona Nowiny* — w broszurze wydanej w Petersburgu w drukarni Piątkowskiego 1912 pod tytułem *Na darozi da nowaho życcia,* stara się dowieść, że kultura białoruska *musiała* stać wysoko, kiedy język białoruski panował w prawodawstwie i urzędach W. Księstwa Litewsko-Białoruskiego, i że Statut Litewski w języku białoruskim był spisany a następnie drukowany.

Dla nas fakt ten dowodzi tylko, że ówcześni białorusini, stanowiący ogromną większość ludności tak nazwanego W. Księstwa Litewskiego, a posiadający już w epoce połączenia z Polską zaczątki kultury ze Wschodniej Rusi, będący w części już chrześcijanami, musieli siłą rzeczy skłonić litewskich książąt do przyjęcia ich języka, pisma i alfabetu, zwłaszcza, że litewski wówczas nie istniał.

Oczywiście kultura białorusinów-chrześcijan była wyższą od kultury litwinów-pogan, ale jeszcze z tego nie wynika, że była *wysoką,* — bo gdzieżby się podziała?

Natomiast nie ulega wątpliwości, że polska kultura zwłaszcza po Unji Lubelskiej była rzeczywiście — jak na owe czasy — *wysoką,* europejską i nic dziwnego, że jako „taka“ zalała całą tę białoruszczyznę.

To fakt powszechnie w dziejach się powtarzający, i z

tem się sprzeczać nie będziemy; idzie tylko o to, czy ta polonizacja była przeprowadzoną świadomie i złemi środkami.

Wiemy jakich sposobów używają dziś prusacy do wytępienia polskości, a rządy masońskie we Francji i Portugalji dla zniszczenia wiary katolickiej, ale o czemś podobnem w dziejach Polski nie słychać.

Jedyny fakt historyczny na jaki się powołuje A. Nowina, to zastąpienie białoruskiego języka polskim w urzędach i sądownictwie, w końcu XVII w., czego się sama szlachta litewsko-białoruska na sejmie Warszawskim 1695 r. domagała. Ale ten fakt prędzej może służyć za dowód, że w owym czasie proces polonizacji już był dokonany, nigdy zaś za środek do jej przeprowadzenia.

Antagonizmu narodowościowego między polakami o białorusinami nigdy nie było, a najlepszym dowodem są cytowane przez tegoż samego Nowinę pieśni i podane nazwiska zbieraczy białoruskich: Czeczott, Barszczewski, Rypiński, a jeszcze bardziej tych co pierwsi próbowali usamowolnić włościan na Litwie jak Chreptowicz, Moniuszko, Brzostowski.

Tenże autor zaznacza zwrot demokratyczny do ludu, wśród szlachty w proklamacjach 1863 r., który wprawdzie nie potrwał długo: stłumiła go katastrofa polityczna jaka na kraj spadła.

Odsunięcie się jednak szlachty od ludu, ustanie wpływu, jaki przed 1863 r. nań wywierać się starała w dziwnie bałamutny sposób A. Nowina tłumaczyć się stara.

Według niego „wziął górę skrajny konserwatyzm, egoizm, wrogo usposobiony względem porywów narodowych i idei demokratycznych. Polacy oddali wszystkie swoje siły wyłącznie własnej sprawie narodowej, a widząc uszczuplający się coraz bardziej stan posiadania, postanowili ratować się planowo i świadomie polonizując białorusinów“ (str. 9).

Widocznie A. Nowina jest młodym i nie przeżył epoki z przed lat pięćdziesięciu, kiedy mówi *o planowej i świadomej polonizacji białorusinów po 1863 roku.*

Jakim sposobem mogli ją Polacy przeprowadzić, kiedy im samym w publicznych miejscach mówić po polsku było wzbronione, kiedy reforma agrarna przeprowadzona w jawnie wrogim dla właścicieli ziemskich duchu przekopała tak głębo-

ką przepaść między dworem i chatą, że najgorliwszy agitator przemknąć się nie mógł przez sieć policji i żandarmów, co jej pilnie strzegli?

Polonizowanie więc białorusinów w owej epoce, a w dodatku *planowe*, jest taką samą prawdą, jak prześladowanie prawosławnych przez katolików w Chełmszczyźnie, i konieczność bronienia ich przed żarłocznością Polaków, o czem tak wymownie przez rok cały prawił p. Bobryński w Dumie.

Ale jest druga strona kwestji, którą słuszność poruszyć mi każe, choć będzie to może niezupełnie na nasz młyn woda.

IV.

Każdego, kto był w kościele parafjalnym katolickim na Białej Rusi, musiał uderzyć fakt, że tam, zupełnie tak samo jak w Królestwie, w Galicji, w Poznańskiem lud czynny bierze udział w nabożeństwie. Śpiewa Różaniec, Godzinki, Gorzkie Żale, Suplikacje, Kolendy i różne pieśni kościelne stosownie do części roku kościelnego. Wszystko to śpiewa czysto po polsku, — w tym języku pacierz mówi, tak w kościele jak w domu; po polsku też matki uczą dzieci katechizmu, książki do nabożeństwa jeśli ma — to także wyłącznie polskie — choć poza kościołem, tak między sobą jak w stosunku do obcych używa narzecza białoruskiego. Na zapytanie jakiej jest wiary?— najczęściej odpowiada *polskiej*, ale siebie samego ma nie za polaka — lecz za *tutejszego* (krajowca).

Skąd ta sprzeczność? Skąd ta anomalja?

Wyznaję, że to jest atut niepospolity w ręku tych, co nam zarzucają żeśmy *spolonizowali* Białoruś. Wpływ kultury polskiej zbyt widoczny na białorusinach aby można było temu faktowi zaprzeczać.

My też bynajmniej przeczyć nie myślimy, fakt przyznajemy, tylko za winnych siebie uznać nie możemy. A to dla następnych powodów:

Kiedy po połączeniu się Litwy z Polską poczęła się szerzyć wiara katolicka w W. Ks. Litewskiem zarówno na Żmudzi, jak na Białej Rusi, kanałem którym ona spływała był język polski. Oczywiście kapłani w narzeczu białoruskiem lub litewskiem porozumiewać się musieli z ludem, i tłumaczyć im

prawdy wiary — lecz obok tego musieli używać gotowych formuł katechizmowych i modlitewnych—a tych dostarczała im kultura polska, która ich na Wschód wysyłała, i do których przywykli ci, co z nimi polonizowali Ruś.

Mieli już oni pieśni, które śpiewali w kościele, pieśniom tym przysłuchiwali się litwini i białorusini a wkrótce i sami w nich udział brać poczęli. Tym sposobem polszczyli się — to prawda — ale ta polszczyzna padała na grunt dziewiczy, — polska kultura litewskiej, ani białoruskiej rugować nie potrzebowała bo jej jeszcze nie było, a podania, klechdy i pieśni ludowe pogańskie do chrześcijańskiej kultury się nie nadawały.

Trudnoż było wymagać od misjonarzy Litwy i Białej Rusi aby wprzód stworzyli dla nich literaturę w ich własnym języku, aby przetłumaczyli tekst pieśni i kolend, zamiast dzielić się z nimi własnym dorobkiem.

Podobieństwo języka białoruskiego do polskiego, które kilka wieków temu musiało być jeszcze większe niż dzisiaj, ułatwiało wzajemne zbliżenie i porozumienie, tak że z czasem białorusin zaczął uważać język polski niejako za liturgiczny, kościelny, którym wyłącznie rozmawiał z Bogiem i zaspakajał potrzeby swojej duszy, i stąd i wiarę swą nazywać zaczął polską.

Źle się stało, że duchowieństwo parafjalne na Białej Rusi poprzestało na tym polskim pokoście, i nie zwróciło uwagi, że chłopek co tak pobożnie pieśni śpiewa, i tak uważnie na pozór kazania słucha — w istocie mało co z tego rozumie. Ale winę tę dzielą kapłani polscy z całą współczesną Europą, która dopiero w XIX wieku zajęła się ludem na dobre. Mieć za to pretensję do księży XVI, XVII i XVIII wieku równie byłoby niesprawiedliwem jak zarzucać im, że nie mieli kolei żelaznych i telefonów.

Na Litwie właściwej (Żmudzi) rzeczy nieco lepszy wzięły obrót. Odrębność językowa była tak wielką, że lud nic absolutnie polskiego nie rozumiał. Dlatego to literatura duchowna wcześnie się pojawiać zaczęła. Już w XVI wieku ukazuje się przekład Pisma św. — a następnie książki do nabożeństwa w języku litewskim. Lud, słuchając melodji pieśni kościelnych polskich, z czasem do nich dorobił słowa litewskie a nawet na

oryginalne teksty zaczął się zdobywać, co dowodzi, że pobożność i wiara katolicka wsiąkła w duszę Litwina i owoc wydawać poczęła. Ale, jest to także dowód, że wiara, która w szacie polskiej przyszła na Litwę, nietylko nie zabiła rdzennego jej języka, ale odwrotnie dopomogła pośrednio do jego rozwijania się, tak jak kultura łacińska, na której się wykształcili poeci narodów nowożytnych.

Że zapoczątkowana w XVI wieku literatura religijna litewska nie rozwinęła się bujniej w XIX, kiedy wogóle prądy demokratyczne panujące w Europie skłaniały do zajęcia się ludem, kiedy coraz wyraźniej wybijały się na wierzch mało dotąd znane szczepy i narzecza w imię zasady narodowości, — wina to nie szowinizmu Polaków, lecz polityki ówczesnego rządu.

Zaraz po przyjeździe swoim do Wilna w celu stłumienia powstania 1863 r. generał-gubernator Murawjew surowo zabronił księżom na Litwie miewać kazania *po litewsku,* —a do polskich używać wyłącznie, jak i na Białej Rusi homilji XX. Filipeckiego i Białobrzeskiego, gruntownych i dla ludu mało zrozumiałych. Zakaz używania litewskiego języka na ambonie motywowany był tem, że żandarmi mający śledzić co ksiądz mówi w kościele — *nie rozumieją języka litewskiego.*

Na tej zasadzie można słusznie powiedzieć — choć to paradoksalnie wygląda, *że pierwszym przymusowym polonizatorem Litwinów — był wileński generał-gubernator Murawjew.*

Stosowany przezeń system niechęci czy niedowierzania do języka litewskiego, dzielnie był podtrzymywany następnie przez wzbronienie wszelkich druków litewskich — łacińskiemi (polskiemi) czcionkami, — co trwało, aż do 1904 roku, i zmuszało litwinów przemycać sobie książki z Prus, gdzie pojawiać się już zaczęły broszury i czasopisma.

Na ten fakt chcielibyśmy zwrócić uwagę księży - litwinów, gorliwie od 1905 r. pracujących nad stworzeniem literatury własnej, której dotychczasowego zaniedbania winę najniesłuszniej skłonni są składać na barki polaków.

V.

Wracając do kwestji kultury białoruskiej a raczej białoruskiego języka i literatury, należy przedewszystkiem podkreślić fakt, że dotąd lud sam wogóle potrzeby i chęci rozwinięcia jej nie odczuwa. Wszystkie dotychczasowe próby — podjęte przez inteligiencję polską na Litwie (Czeczott, Marcinkiewicz, Syrokomla, Korotyński, Jelski, Bohuszewicz) noszą charakter sympatycznej zabawki — w rodzaju modnej czas jakiś literatury prowansalskiej we Francji: głębszych w łonie ludu nie zapuściły one korzeni. Wobec tego chcielibyśmy postawić pytanie czy praca nad sztucznem podniesieniem języka białoruskiego do godności europejskiego, kulturalnego przyniesie ludowi tyle korzyści, ile będzie kosztowała czasu, pieniędzy i zabiegów? czy nie wprowadzi rozdwojenia jakie widzimy wszędzie, gdzie się jakaś narodowość budzi do życia? czy przyczyni się do szczęścia i *dobrobytu umysłowego* tych, w których interesie pracować zamierzano?

Darmobyśmy jednak takie pytanie stawiali: Żyjemy w dwudziestym wieku pod hasłem różniczkowania się, i wskrzeszania narodowości, któremi się przez kilka wieków nikt nie zajmował (staroirlandzka), i w tym kierunku idzie prąd dziejów. *Ale jacta est* — cofać się nie czas — idzie tylko o to, jak się do tej sprawy zabierać.

Chcąc kształcić język i w tym języku szerzyć kulturę, trzeba przedewszystkiem mieć ustalony alfabet, i w tym alfabecie drukować książki. Otóż takiego ustalonego alfabetu białorusini nie mają, język ich stanowiąc coś pośredniego między polskim a rosyjskim, nie miał jeszcze czasu przyswoić sobie jednego z tych dwuch alfabetów i waha się.

Pierwotne dokumenta pisane były rzeczywiście starosłowiańskiemi czcionkami, ale następnie przeważył wpływ Zachodu, i akta urzędowe XVII wieku oraz wszystkie bez wyjątku utwory literackie białoruskie aż do ostatnich czasów, drukowały się alfabetem łacińskim.

Pierwsza gazeta białoruska jaka przed kilku laty zaczęła wychodzić w Wilnie *„Nasza Dola“*, a następnie *„Nasza Niwa“* drukuje się w podwójnem wydaniu łacińskiemi i rosyj-

skiemi czcionkami [2]), ale chociaż p. Nowina chwali się, że to czasopismo potrafiło pozyskać do 60 pisarzy, władających językiem białoruskim, nie spostrzegłem, żeby szerokie warstwy włościan białoruskich interesowało. Próbowałem kilkakrotnie dawać do czytania chłopakom umiejącym czytać biegle po polsku i po rosyjsku *„Dudkę białoruską“* — Bohuszewicza, — żaden z nich nie umiał się zorjentować w swej rodzimej mowie w szatę druku przyodzianej.

I nie może być inaczej dopóki lud nie będzie miał szkółek, gdzie nietylko język białoruski będzie językiem wykładowym, ale też w tym języku drukowane podręczniki.

Na to jednak się nie zanosi, gdyż rząd rosyjski jak to się okazało podczas debatów w Dumie o powszechnem nauczaniu, nietylko białoruskiego, ale nawet ukraińskiego, małoruskiego, daleko bardziej rozwiniętego i mającego już małą literaturę, za odrębny język nie uznaje i w praktyce (w szkole i kościele) domaga się, aby były zastąpione państwowym, rosyjskim.

Ale gdyby pod tym względem nawet nie zachodziły z zewnątrz żadne przeszkody, wątpliwą jest rzeczą czy lud dzisiejszy oceniłby dobrodziejstwo, jakie mu nacjonaliści chcą wyświadczyć, ucząc go ich własnego narzecza zamiast kulturalnego języka polskiego. Wówczas kiedy można było zakładać szkółki wiejskie na Litwie, uczono w nich po polsku. Dzisiejsi ultrapatrjoci widzą w tem gwałt zadany rodzimej kulturze, i narzekają na polonizację. Gdyby jednak spytano ówczesnego wieśniaka czy chce, aby jego dzieci uczono po polsku czy po białorusku, nie zawahałby się wybrać pierwsze, bo jego chłopski rozum podszepnąłby mu zaraz, że polski utoruje mu drogę na świecie, że będzie kluczem do kultury już wyrobionej i bogatej literatury, że rozszerzy horyzont jego ducha — „Prostego mego języka, pomyśli zapewne, uczyć się nie mam poco; umiem go o tyle, o ile w życiu codziennem potrzebny, a pozatem — na cóż mi się przyda? Nasz dorobek mały, nasza skrzynia pusta i otwarta — pocóż do niej klucz dorabiać?“

Zdaje mi się, że i dzisiejszy, przeciętny nieuświadomio-

---

[2]) „Nasza Niwa“ drukuje się obecnie już tylko rosyjskiemi czcionkami. (Przyp. Red.).

ny chłop białoruski tak samo odpowie. A dodajmy, że będzie miał najzupełniejszą słuszność. Azaliż my Polacy, inteligienci wykształceni, inaczej postępujemy? Mając bogatą i wyrobioną literaturę własną, która prędko przyswaja sobie dzieła obcych autorów, moglibyśmy na niej poprzestać, i kto wie ileby skoncentrowanie uwagi nad rodzimem piśmiennictwem i zgłębienie myśli narodowej przyniosło korzyści naszej narodowej duszy, o ileby przyczyniło się do samodzielniejszego myślenia? Uczymy się jednak obcych języków.

Więc i ciemny Białorusin postawiony między polską i rosyjską kulturą — do jednej z nich garnąć się będzie, zanim zdobędzie się na własną.

Do rosyjskiej ciągnie go szkółka wiejska i miejska, gdzie uczy się od dzieciństwa myśli swoje w języku rosyjskim wyrażać, i co główna przyswaja sobie rosyjski alfabet — tę podstawę wszelkiej kultury. Drugą szkołą rusyfikacji jest służba wojskowa, gdzie przez lat kilka wystawiony bywa na wpływy obcych mu mową a częstokroć wiarą towarzyszy, zaledwie mając sposobność z współrodakami kiedy niekiedy domowem pogwarzyć narzeczem. To też powraca do domu z mocno skaleczonym językiem.

Trzecią pokusą do zatracenia rodzimej cechy jest dla białorusina wstąpienie do służby rządowej, zwłaszcza u wojskowych, wyjazd do głębi Rosji, do fabryk lub gospodarstwa rolnego etc. Łatwość wysłowienia się w urzędowym języku jest najlepszym do wybicia się na świecie listem polecającym.

Co te wszystkie wpływy przeciwważyć może? Wiara na tradycji ojców oparta.

VI.

Kiedy mowa o stosunku języka białoruskiego do polskiego, należy odróżnić katolików od prawosławnych. Ponieważ, jak to wyjaśniliśmy wyżej, język polski stał się dla białorusina katolika, nawet analfabeta, mową kościelną, modlitewną, liturgiczną niejako, naturalną rzeczy koleją jest mu ona bliższą od rosyjskiej. Marzeniem jego, jeśli sam nie umie,— dzieci swoje wyuczyć czytać po polsku, głównie dlatego, aby się modlić w kościele na „Złotym Ołtarzyku“.

Katolicka ludność na Białej Rusi będąc tak silnie przywiązaną do swej wiary, a wiarę tę utożsamiając z zewnętrzną obrzędową i językową szatą, garnie się skwapliwie do nauki czytania po polsku bez względu na to, że ma bliżej siebie szkółki rosyjskie. Dla zdobycia tego celu nie żałuje grosza i zabiegów.

Faktem jest, który potwierdzi każdy pamiętający czasy poprzedzające powstanie 1863 roku, że procent modlących się z książki w kościele dziś o wiele większy od tego, jaki był przed pięćdziesięciu laty. Jak do tego przyszło? Kto białorusinom pomagał, kto ich zachęcał, namawiał, kto ich *polonizował?* Nie inteligiencja pozostająca pod groźbą kary za głośne mówienie w miejscach publicznych po polsku, nie księża wyjątkowo surowo strzeżeni, kontrolowani, i za najmniejszy ślad jakiegoś wpływu poza kościołem, wyrzucani z parafji bez sądu drogą administracyjną *jako wywierający zły wpływ* na parafjan; nie dwór wreszcie, którego chiński mur niechęci klasowej oddzielał od chaty, a obawa odpowiedzialności za propagandę polską najgorętsze paraliżowała chęci. Dodajmy do tego, że duchowieństwo nawet biernie, przez nabożeństwo w kościołach odprawiane, nie mogło podtrzymywać tradycji polskiej, bo najprzód wogóle pokasował rząd mnóstwo parafji na Białej Rusi, a wiele z pozostałych wakowało dla braku księży, przytem w połowie kościołów w gubernji mińskiej przez lat dwadzieścia kilka nie odprawiało się nabożeństwo, bo rząd domagał się, aby dodatkowe nabożeństwo (kazania, pieśni i wszelkie modły nie-łacińskie) odbywały się w nich w języku rosyjskim z usunięciem polskiego, na co żaden kapłan zgodzić się nie mógł.

Wszystko zdawało się ułatwiać wpływ języka państwowego na białorusinów, i na garnięcie się ich na stronę rządu, który przez uwłaszczenie ich tak wielkim dobrodziejem się okazał. A jednak rezultatu pożądanego — *odpolszczenia* białorusinów-katolików — nie osiągnął.

Jeszcze raz stawiamy pytanie. Jak to się stało? Kto był rozsadnikiem polskiej kultury w owych ciężkich czasach?

— Oto nie kto inny, tylko oni sami. Ten, co posiadał sztukę czytania, sam uczył najprzód dzieci swoje, a następnie cudze. Jeśli znaczną była ich liczba, i człowiek zajęty pracą

nie mógł podołać zadaniu, najmowano wówczas osobnego nauczyciela — najczęściej dymisjonowanego żołnierza, który za marne wynagrodzenie i wikt, na które się cała wioska składała, prowadził elementarną szkołę, w sekrecie przed żandarmem i *uriadnikiem* (strażnikiem ziemskich). Szkoła ta dla niepoznaki przenosiła się z chaty do chaty, a podczas nauczania stał ktoś na czatach i w razie zbliżania się jakiejś rządowej figury dawał znak, w mgnieniu oka chowały się elementarze i kajety, a hałaśliwa czereda malców rozbiegała się po domach, aby nazajutrz, po przejściu niebezpieczeństwa zebrać się w innem miejscu.

Była to więc zwykła wojna podjazdowa, którą prowadzili z rządem ludy krępowane w prawach swoich i aspiracjach, reakcją, presją rządu wywołaną.

Zwracamy uwagę na ten fakt dowodzący wśród białorusinów katolików świadomego ciążenia do kultury polskiej, wbrew twierdzeniu p. Nowiny, że „lud białoruski ciemny był jak tabaka w rogu — i do żadnej wogóle nie garnął się cywilizacji i kultury“. Owszem garnął się — i, jak widzieliśmy, z niemałym trudem, sam przez się, nie zachęcany nie wspierany przez nikogo, ale tylko na gruncie kościelnym z pobudek religijnych. Nie szło mu o oświatę szerszą, książek innych oprócz *Złotego Ołtarzyka*, *Kantyczek i żywotów świętych* nie czytał: te mu zupełnie wystarczały.

Nie dziwimy się przeto, że na mocy tych pozorów, nie zbadawszy głębiej ducha ludu, rząd doszedł do wniosku, że podstawą katolicyzmu na Białej Rusi jest polskość, narzucona wieśniakowi przez polską szlachtę, — że ten wieśniak wyzwoliwszy się z pod tego jarzma garnąć się będzie do wschodniej kultury i wiary, którą sam do XVII wieku wyznawał.

Skutkiem tego poglądu były próby odpolszczenia katolicyzmu przez wprowadzenie języka rosyjskiego do nabożeństwa w kościołach djecezji mińskiej (1869—1902).

Myliłby się jednak ten, coby sądził, że poglądy sfer rządowych na tę sprawę były jednomyślne i stałe. Cesarz Mikołaj I wydał w 1848 r. ukaz zabraniający używania języka rosyjskiego w kościołach katolickich, „gdyż ten wyłącznie służyć winien prawosławiu“. Generał-gubernator Murawjew chciał go użyć jako narzędzia rusyfikacji na Białej Rusi i w tym

celu popierał przekłady książek rosyjskich do nabożeństwa na rosyjski, które potem narzucano duchowieństwu i wciskano w ręce młodzieży szkolnej, odbierając zarazem od niej polskie.

Wykład religji katolickiej w szkołach, i podręczniki do niego (aczkolwiek z wątpliwą aprobatą duchowną) były już wprowadzone. Szło tylko o zastąpienie w nabożeństwie katolickiem polskiego języka rosyjskim, i tę ostatnią zaporę usunąć postanowiono.

Odzywały się jednak, już w onej epoce wybujałego nacjonalizmu, wśród samych działaczy Rosjan głosy przeciwne. Tak kurator Okręgu Naukowego Wileńskiego I. P. Korniłow przewidywał w praktyce dwa szkopuły; pierwszy — że „dla przeprowadzenia tej reformy nie można wcale liczyć na pomoc miejscowych księży katolickich“ — drugi zaś—że „wprowadzenie języka rosyjskiego do kościołów katolickich przeniesie kwestję katolicyzmu na grunt narodowo-rosyjski i wytworzy nieznaną dotąd odmianę *rosyjskiego katolicyzmu*“.

„Wrogiem naszym — pisze on dalej — a wrogiem złym i niebezpiecznym nie polski język — ale katolicyzm. Dopóki kościoły w Zachodnim kraju [3]) pozostają w związku organicznym z kościołami Królestwa Polskiego i Zachodniej Europy, w hierarchicznej uległości Papieżowi, dopóty Rosja ze swojem prawosławiem nie będzie żyć w zgodzie z latynizmem, chociażby w szacie rosyjskiej“.

„Trzeba nam myśleć nie o wprowadzeniu języka rosyjskiego do kościołów, lecz o daleko ważniejszej sprawie, o podniesieniu w Zachodnim kraju prawosławia i kultury rosyjskiej, o powiększeniu wpływu prawosławnego duchowieństwa i miejscowej ludności rosyjskiej“.

„Rozpowszechniajcie prawosławie, podtrzymujcie rozpoczętą w tym kierunku pracę, ale nie stawcie jej przeszkody *legalizując niejako katolicyzm w oczach narodu rosyjskiego,* dając mu prawo obywatelstwa rosyjskiego“.

„Obecnie sami katolicy (białorusini) dochodzą do świadomości, że oni nie polacy ale rosjanie, wyznający tylko wiarę polską. Zaczynają się wahać czy nie wypada im na polu wiary zjednoczyć się ze swymi rosyjskiemi braćmi. Skoro je-

---

[3]) To znaczy na Litwie i Białej Rusi. (Przyp. autora).

dnak język rosyjski zostanie wprowadzony do kościołów, chęć ta i dążność straci całą rację bytu, gdyż i *łacińska* wiara *językowo* stanie się *wiarą rosyjską*, a w dodatku będzie to wiara nie w starosłowiańskiej, jak nasza prawosławna, lecz czysto rosyjskiej, dostępnej wszystkim, ludowej szacie“.

„Latynizm w Zachodnim kraju jest niebezpieczny nie dlatego, że w tutejszych kościołach rozlega się język polski, ale jest niebezpieczny sam przez się. Latynizm jest przewodnikiem władzy papieskiej a wraz z nią interwencji katolickich monarchów, podtrzymujących tę władzę z pobudek politycznych [4]).

Następca Murawjewa — Kaufman, także bardzo niedowierzająco patrzał na *popularyzację katolicyzmu za pośrednictwem języka rosyjskiego*. Pomimo to przeważyła strona przeciwna, widząca w języku rosyjskim skuteczny środek odpolszczenia i odkatoliczenia Białej Rusi.

Ale trzeba było wprzód wystarać się o zniesienie interdyktu nałożonego na język rosyjski w kościele Ukazem Mikołaja I, o czem wyżej była mowa. Udało się tego dokonać zaledwie po trzech latach zabiegów.

25 grudnia 1869 r. wyszedł Najwyższy Rozkaz *dozwalający* wprowadzenie języka rosyjskiego do kościołów *tam, gdzie tego parafjanie zażądają*.

Miała więc ludność białoruska sposobność wypowiedzenia swego zdania, swych sympatji i aspiracji do kultury rosyjskiej, — i cóż z tego wypadło? Oto na skutek ankiety zarządzonej oficjalnie przez biskupa Staniewskiego we wszystkich parafjach archidjecezji mohylowskiej, we wszystkich *bez wyjątku* lud odpowiedział, że *pragnie aby rzeczy pozostały jak były, a zmiany języka w kościele nie życzy*.

Dodajmy, że już na parę lat przed Ukazem 1869 r., a zatem nielegalnie, ksiądz Ferdynand Sęczykowski w Błoniu i Ihumeniu, na własną rękę począł pod pozorem zadośćuczynienia potrzebom duszy białoruskiej miewać kazania i śpiewać w kościele po rosyjsku. Lud więc już w tym kierunku był przygotowany i rozumiał o co rzecz idzie, odpowiadał świadomie

---

[4]) List Korniłowa do Ministra Oświaty Dielanowa 22 lipca 1866 r.

i szczerze, wpływy zaś postronne inteligiencji czy księży w latach 1863—1869 objawić się nie mogły: zbyt silny był nacisk i nadzór urzędników, zbyt wielkie przygnębienie szlachty, zbyt wielką obawa ze strony księży aby nie ściągnąć na siebie zarzutu *nieprawomyślności (niebłahonadiożnosti)*, który pociągał za sobą karę zrzucenia z probostwa, więzienia w klasztorze, a czasem deportacji dalszej.

A jednak — powtarzam — nie było *ani jednego wypadku*, aby chłop białoruski na propozycję zastąpienia w kościele języka polskiego rosyjskim, wrzekomo sobie bliższym i zrozumialszym, odpowiedział twierdząco. W liczbie parafji Mohylowskiej gubernji była Faszczowska, wyłącznie chłopska, w której oddawna księża przemawiali z ambony po białorusku. I ona także odrzuciła ofertę języka rosyjskiego w kościele — jest to fakt z którym rachować się trzeba.

VII.

Ale fanatyzm i szowinizm w jakimkolwiek rozwinięty kierunku nie liczy się z niczem. Zwolennicy wprowadzenia języka rosyjskiego, widząc, że drogą legalną tego dokonać nie potrafią, bo nikt nie zechce z cesarskiego *zezwolenia* korzystać — wbrew takowemu postanowili dopiąć swego celu drogą przymusu. Narzędziem tej nielegalnej samozwańczej propagandy rusyfikacyjnej stał się przed wszystkiemi ks. Ferdynand Sęczykowski, który jak wyżej wspomnieliśmy, uprzedzając cesarski rozkaz w Błoniu i Ihumeniu pierwszy zaczął śpiewać i kazać w kościele *po rosyjsku*, motywując, że to jest język *ludowy* — a następnie zostawszy dziekanem Borysowskim — w sześciu kościołach tego dekanatu język rosyjski zaprowadził. W raporcie do mińskiego gubernatora 1870 r. chełpi się i upewnia, że *„przy gorliwości i współdziałaniu władzy* można w ciągu dwuch lat w całej Mińskiej gubernji nietylko język, ale przekonania i ducha rosyjskiego do kościołów i do parafji wprowadzić“.

Pomoc władzy państwowej była o tyle nieodzowną, że lud białoruski, na którego korzyść *wrzekomo* Sęczykowski pracował — jak to wielokrotnie twierdził — nietylko języka rosyjskiego, jaki mu narzucić chciano, nie uważał za dobrodziej-

stwo, ale stanowczo przeciw niemu protestował, posyłając do gubernatora protesty i reklamacje. Sęczykowski tłumaczył je wpływem intrygi jezuicko-polskiej—i wciąż coraz nowe przeciw niej wynajdywał środki, które śpieszył zalecać w ministerjum.

Jednym z takich środków było ustanowienie nieznanego w kościele katolickim urzędu *Wizytatora* kościołów i pomocników Administratora Wileńskiej R.-K. djecezji, na który mocą Najwyższego rozkazu 9 lipca 1876 r. był mianowany.

Na zasadzie tej nowej godności, Sęczykowski objeżdżał kościoły djecezji mińskiej, domagając się od miejscowych proboszczów odprawiania nabożeństwa dodatkowego po rosyjsku. W razie odmowy księdza pozbawiał posady i posyłał do klasztoru OO. Dominikanów w Nieświeżu, który tym sposobem zamienił na więzienie księże, sam zaś częstokroć intonował modły po rosyjsku. Odpowiednie kościoły zaliczone zostawały do kategorji tych, *do których rosyjski język wprowadzony*. Od każdego kapłana, kandydatującego na te probostwo rząd wymagał dalszego prowadzenia nabożeństwa w tymże języku, że zaś żaden ksiądz roli rusyfikatora białorusinów *wbrew ich woli* podjąć się nie chciał, kościoły te wakowały przez dwadzieścia lat i więcej, dopóki dzięki umowie zawartej z Watykanem 1902 r. nie ustał nacisk rządu w tym kierunku; a następnie dzięki Manifestowi Najwyższemu 1905 r. 17 (30) kwietnia nie powróciło wszystko do dawnego porządku.

Kościołów takich (zrusyfikowanych) było ze dwadzieście pięć—to jest prawie połowa wszystkich parafji w djecezji mińskiej, które pozostały po kasatach 1863 roku, ale tylko w dziesięciu z nich odprawiało się nabożeństwo parafjalne — bo tylko tylu znalazło się księży, którzy dla korzystania z opieki rządu i uniknięcia prześladowania nietylko się podjęli rusyfikacji w kościele, ale takową systematycznie prowadzili jeszcze do 1902 roku. Oprócz nich było kilkunastu słabych, którzy przez tchórzostwo zobowiązali się na piśmie do używania języka rosyjskiego w kościele ale się potem cofnęli, albo tylko od czasu do czasu modły za cesarza w nim odprawiali, a zresztą milczeli.

Zarówno jednak jedne jak i drugie kościoły w oczach ludu były uważane za niekatolickie i jako takie systematycznie

omijane. Dla braku księży odpowiednich widokom rządu, stały one pustkami, aż do 1905 roku — nawet te, przy których był ksiądz. Tylko bardzo gwałtowna potrzeba (chrzest, ślub, pogrzeb) zmuszała chłopa białoruskiego do zetknięcia się ze swoim proboszczem. Były nawet przykłady, że parafjanie czynnie swoją niechęć względem takich księży-rytualistów wyrażali. Tak kobiety miasteczka Nieświeża, jak legenda niesie, mężczyźni poprzebierani za niewiasty, dowiedziawszy się, że przyjeżdża do nich na proboszcza znany już ze złej opinji, drugi obok Sęczykowskiego *Wizytator* z ramienia rządu, ksiądz Jan Jurgiewicz, przyczaiły się na drodze, którą miał jechać i tak go hojnie obrzucili zgniłemi jajami i kartoflami, że nie dobrawszy się do plebanji — podał się do odwrotu, i tym sposobem kościół nieświeski został uratowany.

Wszystkie powyższe szczegóły daty i fakta — z wyjątkiem ostatniego, który krążył w ustnem podaniu — zaczerpnąłem z biografji księdza Sęczykowskiego wydanej w dwuch obszernych tomach w Wilnie 1911 r. przez A. Żyrkiewicza. Jest to praca źródłowa, oparta na dokumentach czerpanych z archiwum ministerjum, oraz na własnoręcznych listach i notatkach zmarłego w 1907 r. ks. Sęczykowskiego, którego autor był entuzjastycznym wielbicielem, choć go nigdy w życiu nie widział. O stronność go więc podejrzewać nie można.

Ks. Sęczykowski, jak się okazuje z przytoczonego wyżej dzieła, był duszą i głównym promotorem sprawy odpolszczenia kościoła w Mińszczyźnie, doradcą najwyższych sfer rządowych, które go moralnie i materjalnie podtrzymywały, — a jednak spotkał go los zwykły tych, co się stają narzędziem obcej polityki. Skoro się okazało, że system rusyfikacji drogą kościoła za pośrednictwem duchowieństwa przeprowadzić się nie da, a z drugiej strony nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Watykanem w 1883 r. nakazywało unikania wszelkich jątrzących kwestji, — Sęczykowski nawołujący wciąż do walki stał się niepotrzebnym kompromitującym anachronizmem. Otrzymawszy niewielką dożywotnią emeryturę osiadł w Omsku i tamże 1907 r. umarł.

W jednym z listów do biografa swego Żyrkiewicza pisał: „Jestem przekonany, że po mojej śmierci przyjdzie czas, kiedy z tych kamieni, któremi na mnie rzucali i rzucają, praw-

dziwi Rosjanie *(istinno-russkije ludi)* i iście rosyjski rząd wzniosą pomnik nad moją mogiłą".

Dotychczas nie zanosi się na spełnienie tej przepowiedni. Za wyjątkiem Żyrkiewicza nikt zasług Sęczykowskiego nie podnosi, choć poruszona przezeń sprawa znowu odzywać się zdaje. Przeciwnie sfery rządowe same przyznają, że do rusyfikacji Białej Rusi użyto zbyt nieczystych rąk, i przez to sprawę zabagniono. Jakkolwiek bądź przebieg działalności ks. Sęczykowskiego dobitnie przekonywa, że chłop białoruski języka rosyjskiego w kościele nietylko nie pragnie, tam zaś gdzie mu ten język samowolnie narzucono, niedwuznacznie swą niechęć zamanifestował bojkotując kościoły, które za nie swoje uważa.

VIII.

Dotychczas rozpatrywaliśmy sprawę wprowadzenia języka rosyjskiego do kościołów katolickich, jako kwestję wewnętrznej polityki Rosji, jako zatarg rządu z duchowieństwem katolickiem. Ponieważ jednak ten zatarg rozegrywał się w kościołach, tyczył się formy nabożeństwa, a duchowieństwo niejednokrotnie odwoływało się do Stolicy Świętej, utrzymując, że niema prawa wprowadzać inowacji bez zezwolenia wyższej władzy swojej, — należy wyjaśnić jak się na to Watykan zapatrywał. Była to najwyższa instancja, a w danych warunkach jedyna, do której się rząd rosyjski mógł udać, obie bowiem djecezje, w których się sprawa agitowała, były pozbawione swych pasterzy: Wojtkiewicz, ostatni biskup miński, wywieziony 1867 r. do Wilna, wkrótce tamże umarł. Krasiński zaś, biskup wileński przebywał na wygnaniu w Wiatce aż do 1883 roku.

Pozyskanie aprobaty Rzymu byłoby przechyleniem zwycięstwa na swoją stronę, a tej aprobaty tem łatwiej spodziewać się było można, że wówczas już zaczynały nawiązywać się stosunki z Watykanem w kwestji obsadzenia wakujących stolic biskupich, a przytem nie było obawy posądzenia Rzymu o sprzyjanie tendencjom Polaków, o co ich zawsze w Petersburgu pomawiano. Ojcu św. bliżej na sercu leżała sprawa wiary, niż narodowości — a wzajemny ich stosunek na Białej Rusi nie mógł Mu być dokładnie wiadomy. Stąd nadzieje z je-

dnej, a obawy — z drugiej strony, niejednokrotnie znajdywały odgłos w prasie, roznamiętniając umysły. Jakże tedy Ojciec św. postąpił? Przedewszystkiem zechciał dobrze zbadać stan sprawy i w tym celu polecił O. Martynowowi, Jezuicie, zrobić ankietę na statystyce opartą, i orzec na jej fundamencie, czy wprowadzenie języka rosyjskiego do nabożeństwa katolickiego na Białej Rusi korzystne być może dla sprawy wiary?

Wybór O. Martynowa, rdzennego Rosjanina, stale mieszkającego w Paryżu zdala od wpływów miejscowych polskich i prawdopodobnie nie umiejącego po polsku, był chyba dostateczną gwarancją, że poruczona mu ankieta będzie przeprowadzona bezstronnie.

Owocem tej ostatniej był szereg artykułów drukowanych w czasopiśmie „*Etudes religieuses politiques et litteraires*“, a następnie wydane w osobnej odbitce pod tyt. „*De l'introduction de la langue russe dans les églises catholiques*“, w której O. Martynow, opierając się na danych dostarczonych przez statystykę *urzędową* co do cyfry ludności katolickiej na Białej Rusi, języka którym mówi, i wiary jaką wyznaje, doszedł do wniosku, że wprowadzenie języka rosyjskiego do nabożeństwa katolickiego obróciłoby się nie na korzyść, lecz na szkodę wiary katolickiej, bo odstręczyłoby od niej katolików, a nie pozyskałoby nikogo. Wskutek tego dnia 11 lipca 1877 r. św. Kongregacja Indexu i św. Officjum przecząco odpowiedziała na dwa postawione jej zapytania:

1-o. Czy można bez pozwolenia Stolicy świętej zastąpić w nabożeństwie tak zwanem dodatkowem język polski od niepamiętnych czasów używany — językiem rosyjskim.

2-o. Czy Stolica święta tego rodzaju zamianę dopuszczała lub ma zamiar dopuścić? [5]).

Tym dekretem księża opierający się rusyfikacji kościo-

---

[5]) W oryginale brzmi to jak następuje:

1-o. Utrum in cultu suppletorio quem dicunt, pro lingua polonica, qua ex immemoribili consuetudine in usu est, absque Sedis S. auctoritate substitucione linguam russiacam licitum sit?

2-o. Utrum S. Sedes huiusmodi substitutionem lingua rossiacae toleranverit vel tolerare censenda sit?

Resp: Aduchumque: Negative.

(Acta S. Sedis 1877, tom X, p. 572—573).

łów, pozyskali pewny grunt pod nogami. Stolica święta kierująca się tylko zasadą katolicką, podtrzymała sprawę kultury polskiej raz jeszcze stwierdzając, że między katolicyzmem a polskością antagonizmu lękać się niema powodu.

Ale ta decyzja Stolicy świętej nie należycie zrozumiana obudziła szereg zarzutów w społeczeństwie rosyjskiem. Poczęto się oburzać na ostracyzm rzucony przez Rzym na język rosyjski. Przecie Kościół katolicki odzywano się, chełpi się swoją *powszechnością,* a ta ostatnia musi dopuścić ludy *wszech* języków do jedności wiary. Przecie misjonarze jadący w dzikie kraje uczą się narzeczy i gwar dzikich ludów, i w ich mowie nawracają i nauczają ludzi — dlaczegożby cywilizowany i europejski język rosyjski sam jeden tylko miał być wyłączony z ogólnej normy, z ogólnego nakazu Chrystusa Pana: Idąc nauczajcie *wszystkie* narody?

Zarzuty powyższe polegają na niedokładnem zrozumieniu tekstu dekretu papieskiego. Mowa w nim bowiem bardzo wyraźna nie o *dopuszczeniu* języka rosyjskiego do nabożeństwa katolickiego, ale *o zastąpieniu* (substytucji) takowym polskiego, od niepamiętnych czasów używanego, o wyrugowanie tego ostatniego z kościołów, o pozbawienie go stanu posiadania z krzywdą oczywistą tych, co doń od wieków przywykli.

Że zaś taka była myśl rządu, że w kościołach, w których choć raz zaśpiewano po rosyjsku — polskie nauki i śpiewy *ipso facto* zostawały wzbronione, — tego dowodzi historja djecezji mińskiej (1869—1902), jakeśmy się to starali przedstawić w poprzednim ustępie niniejszej rozprawy.

Tej polityki nie mógł Papież aprobować na zasadzie prostej sprawiedliwości. A były też i inne poważne przyczyny. Za pomocą języka rosyjskiego chciano ludność białoruską nietylko oderwać od Polaków, lecz zbliżyć do prawosławia, czego lud instynktownie się obawiał i nie z językowych, patrjotycznych lecz wyłącznie z religijnych pobudek się opierał. Jakże miał Ojciec św. do tych pokus dopomagać? Rosjan-katolików na Białej Rusi nie było i być nie mogło, bo w owej epoce prawosławnych nawracać pod ciężką karą było wzbroniono, do kogoż więc i w jakim celu mieli księża przemawiać po rosyjsku?

Zmieniła się postać rzeczy, kiedy z wysokości Tronu 17 (30) kwietnia 1905 roku ogłoszona została swoboda sumienia, dozwalająca każdemu iść za głosem serca, przekonania nie wyłączając wyznawców religji państwowej, prawosławnej. Dzięki temu Manifestowi zerwane zostały więzy krępujące sumienia tylu katolików w duszy, a prawosławnych na papierze, których nadprokurator Świątobliwego Synodu w Petersburgu w urzędowych dorocznych sprawozdaniach swoich nazywał „opierającemi się prawosławiu“ *(uporstwujuszczije)*. Ale zarazem otworzyło się nowe pole dla działalności kapłanów katolickich, nawracanie Rosjan, i nauczanie tych, którzy, przyłączywszy się do Kościoła katolickiego, rosyjskim tylko władają językiem. Tego rodzaju nawrócenia działy się naturalnie tylko w Rosji właściwej, w Petersburgu, Moskwie i innych miastach gubernjalnych, — tam znaleźli się Rosjanie-katolicy nie rozumiejący innego prócz ojczystego języka. Dlatego też tam poczęli księża najpierwej wprowadzać język i śpiewy rosyjskie do kościoła, — a zrobili to nie pod naciskiem rządu — jak to było w Mińszczyźnie w ósmym dziesiątku przeszłego wieku, ale dobrowolnie, powodowani chęcią zbawienia dusz, żądzą wypełnienia Chrystusowego nakazu „nauczania *wszystkich* narodów“. Sprowadzania na łono Kościoła katolickiego tych „co jeszcze nie są z Jego owczarni“.

Ludzie pamiętający czasy Sęczykowskiego — tylu księży uwięzionych lub wygnanych, tyle kościołów skasowanych lub zamkniętych za opieranie się wprowadzeniu języka rosyjskiego, z obawą patrzyli na te pierwsze próby, a umysły powierzchownie na rzeczy patrzące gotowe były tych księży zaliczyć do kategorji Sęczykowskich obrzucając ich obelgami, przejęci obawą, że skoro rozpoczną się kazania rosyjskie w Petersburgu, rząd tem gorliwiej będzie się ich domagał w Mińsku i Wilnie, — zapominali, że inne są warunki w rdzennej Rosji, a inne na Białej Rusi, i jedna bynajmniej nie wpływa na drugą. Wprowadzenie języka rosyjskiego na Białej Rusi zależne jest dziś bardziej niż kiedykolwiek od woli jej mieszkańców, nie zaś od rządu albo duchowieństwa.

Słyszeliśmy co prawda, że już zmarły Stołypin miał na nowo wszcząć kwestję językową w guberji Grodzieńskiej, —

i następcy jego w zarządzie państwa, poduszczani partją zaciekłych nacjonalistów rosyjskich, agitację w tym duchu dalej prowadzić mają. Jeżeli jednak w Mińszczyźnie, gdzie cała ludność wiejska wyłącznie składa się z czystej krwi białorusinów, w czasach po-Murawjewowskich, zupełnego rozprzężenia hierarchji kościelnej nie udało się ludu przeciągnąć na stronę rządu, niema racji się obawiać, aby to się stało dziś, kiedy lud bardziej uświadomiony i ma w Najwyższym Ukazie 17 (30) kwietnia 1905 r. mocną podstawę legalną do bronienia praw swoich.

X. W. Czeczott.

Stosunki Inflant do Litwy w XV w.

I.

Arcybiskup Wallenrod. — Książę Otto Świecimski, elekt kapituły na Ryską stolicę. — Zwycięstwo Wallenroda — Pośrednictwo arcybiskupa w sprawach polsko-krzyżackich. — Na soborze w Konstancji. — Ugoda z Zakonem. — Wallenrod po stronie Marcina V, zostaje arcybiskupem w Leodjum. — Znaczenie jego episkopatu.

O stanowisku, na jakie przeznaczyła Stolica Święta Alberta II Suerbeera, mianowanego 1246 r. arcybiskupem Inflant i Prus, wyraził się jeden z historyków, że była ona jedną z najtrudniejszych w świecie. I słuszna, Albert II miał z polecenia Papieża unormować trudne i zawiłe stosunki Kościoła, ułatwić jednym ludom nawrócenie do wiary, drugim do jedności kościelnej na północnym wschodzie Europy, gdzie kwestje polityczne krzyżowały się ze sporami narodowościowymi, te zaś z wyznaniowymi w jeden węzeł gordyjski, tem trudniejszy do rozwiązania, że ponad wszystkiemi tymi trudnościami dominowało stanowisko Zakonu Niemieckiego, który dążył wszędy do zapanowania nad episkopatem, do podbicia duchowieństwa pod swą zwierzchniczą władzę. Zakon miał już potęgę, z nim się liczyć należało, a jednak nie można było zezwolić na kierunek jego dążeń, sprzecznych z duchem Kościoła, stąd owe trudności Alberta II.

Uwagę powyższą niemieckiego uczonego, można zastosować do wszystkich następców Alberta II na Stolicy Ryskiej,

i oni walczą z trudnościami, jekie trudno spotkać w innych stronach Europy. Nasuwają się im w XIV w. widoki olbrzymiego rozszerzenia wpływu na zachodzie, i oni jednak, lubo wierni obowiązkowi Kościoła, jednakże tyle trudności mają do zwalczenia, że nieraz prawie ustają w pracy; a powodem tego ustawania są właśnie ci, którzy zamiast nieść pomoc zapory stawiają, ci którzy biskupów chcą uczynić narzędziami swej polityki, wyzuć ich z ich zwierzchniczego stanowiska, słowem landmistrze inflanccy. Walka episkopatu inflanckiego z landmistrzami trwa niemal od początku ich powołania do Inflant i odbija się nietylko na stosunkach wewnętrznych inflanckich, ale w ogólności na stosunkach wschodnich, a więc przedewszystkiem na litewskich.

Pod koniec XIV w. kiedy dzięki unji w Krewie zawartej Jagiełło został królem polskim i ludy swe powołał do bratniego związku z Zachodem przez przyjęcie wiary Chrystusowej, właśnie w tym okresie, kiedy i dla episkopatu inflanckiego otwierało się pole misji, on niestety pokonany w walce przez Zakon Niemiecki, ani mógł marzyć o skorzystaniu dla dobra Kościoła z tak olbrzymiego przewrotu, jaki się na Wschodzie dokonywał na skutek związku małżeńskiego Litewskiego Jagiełły z królową Jadwigą. Arcybiskupowie, którzy tak dotkliwie uciemiężani byli przez landmistrzów, że musieli szukać pomocy u poprzedników Jagiełły, u pogańskiej Litwy książąt jak Gedymina i Olgierda, ci książęta Kościoła, dobrodzieje Krzyżaków muszą opuszczać stolicę swą, chronić się do obcych krajów i pod naciskiem srogich i bezwzględnych wrogów przyjąć dyktowane sobie warunki zgody.

Arcybiskup Sinten, zamianowany przez Grzegorza XI w 1374 roku jest już prawie w zupełności od Zakonu zawisłym, lubo walkę toczy do ostatniej chwili i to w czasie, kiedy z drugiej strony Zakon wytęża środki, aby podbić i ujarzmić sobie Litwę, która wspomagana przez Jagiełłę i Polaków niezwykle silny czyni odpór straszliwym wysiłkom Mistrzów Zakonu. Sinten nie mogąc sprostać w walce opuszcza Stolicę arcybiskupią, udaje się do Lubeki, skąd rozwija olbrzymią czynność, prosi Papieża o pomoc, wzywa Jagiełłę, książąt Litwy aby byli egzekutorami wyroku papieskiego. Dawnoby Litwa przyjęła była wiarę świętą — woła on, — gdyby nie

Zakon Niemiecki. I ten sam Bonifacy IX, który nakazał był Sintenowi i jego kapitule przyjąć regułę Krzyżackiego Zakonu, w 1392 r. poleca arcybiskupowi Praskiemu i biskupom Kamińskiemu i Lubeckiemu, aby wystąpili z karami kanonicznymi przeciwko tym, którzy gnębią Kościół ryski. W rok później król rzymski, Wacław, wziął pod skrzydła protekcji imperjum rzymskiego Kościół ryski i wszystkie tegoż posiadłości.

Ostatecznie jednak Bonifacy IX zamianował Sintena patryjarchą Akwilejskim, zniósł kary kanoniczne na landmistrzów i Zakon nałożone, a arcybiskupem Rygi zamianował zawisłego od Zakonu, wychowanka i bratanka zmarłego Mistrza, imieniem Jana Wallenroda. Nad kościołem ryskim zawisło nowe niebezpieczeństwo. Zapytajmy kim był nominat?

Dobrze informowany kronikarz Zakonu Jan Posilge opowiada, że wnet po obiorze Konrada Jungingena na mistrza wielkiego Zakonu, kiedy jeszcze landmistrz inflancki był w Malborgu, przybył tamże z Rzymu bratanek zmarłego mistrza Konrada Wallenroda imieniem Jan, którego świeżo wyniósł był Papież Bonifacy IX na arcybiskupstwo Rygi. Uciemiężanego przez Zakon poprzednika Janowego, arcybiskupa Jana Sintena wyniósł Papież na patryjarchat Akwilejski. Jeżeli zważymy, że Konrad Wallenrod, który niezawodnie przyczynił się głównie do wyniesienia bratanka na Stolicę Ryską, tchnął wielką do duchowieństwa niechęcią, że powagę tegoż podkopywał, wynosząc równocześnie znaczenie Zakonu ponad episkopat, że w końcu i Jan Wallenrod przyjął suknię Zakonu Niemieckiego, składając tem niejako dowód poddania się pod wytyczną polityki zakonnej, natenczas nominację Jana Wallenroda przyjdzie nam uznać jako akt niemałego znaczenia. Zakon, stanąwszy u szczytu rozwoju terytorjalnej potęgi, zapragnął przy pomocy najwyższego zwierzchnika episkopatu w krajach Zakonu tak pruskich jako też i w Inflantach i inflancki episkopat i tameczne duchowieństwo zaprządz do wozu swej polityki, tak jak to uczynił już z duchowieństwem pruskiem.

Nietylko nowy arcybiskup za zezwoleniem Bonifacego IX przyjęli suknię Zakonu, owszem za rozporządzeniem Papieża, przekonanego, że swem zarządzeniem zapobiegnie procesom i sporom pomiędzy Zakonem a episkopatem inflanc-

kim od wieku już istniejącym, mieli odtąd wszyscy kanonicy i duchowni Ryskiego Kościoła składać śluby jako członkowie Niemieckiego Zakonu, a wogóle wszyscy mieli nosić suknie zakonne. Zdawało się, że zawisłość episkopatu i duchowieństwa ryskiej archidjecezji była tem przypieczętowaną i intencje Malborskie odniosły zwycięstwo; kurja je aprobowała.

Nowy arcybiskup miał zostać narzędziem polityki Malborskiej, a tymczasem w samej djecezji stanął naprzeciwko niemu przeciwnik protegowany przez rzymskiego króla Wacława. Kapituła bowiem ryska za zezwoleniem jeszcze Jana Sintena obrała była na arcybiskupa młodego syna księcia Świętybora Szczecińskiego, imieniem Ottona, a król Wacław uważając arcybiskupstwo jako bezpośrednie lenno państwa, obiecał poparcie Ottonowi i starał się zarówno u królowej Małgorzaty Duńskiej jako też u króla Jagiełły o poparcie księcia Ottona [1]). W myśl takiej odezwy, wystosowanej do księcia Świętybora Szczecińskiego, miał tenże przy pomocy królów Polski i Danji i innych książąt, których w tym celu Wacław wezwał, wprowadzić syna swego księcia Ottona, elekta, na jego Ryską Stolicę. Król Jagiełło, który jeszcze w czasie sporów Jana Sintena, łagodził, o ile na to sąsiedzkie pozwalały stosunki wewnętrzne niesnaski w Inflanciech, napisał teraz do kurji z przedstawieniem ucisku Kościoła inflanckiego i wstawieniem się za elektem kapituły księciem Ottonem [2]). Równocześnie kanonicy ryscy na dworach książąt zachodnich pracowali usilnie w sprawie pretendenta księcia Ottona, podczas gdy biskup Dorpacki Teodoryk Dammeran odmówił złożenia przysięgi obedjencyjnej Wallenrodowi i starał się o ułatwienie Ottonowi wejścia na Stolicę. Ponieważ zarówno król Jagiełło jako też iWitold usiłowania te gotowi byli poprzeć, przeto w Inflantach nie było mowy o spokoju wewnętrznym, a stanowisko Wallenroda było mocno zagrożone. Teodoryk zaciągnął piratów na swój żołd, aby ich mieć na odparice ataków Zakonu i młodego księcia Meklenburskiego. Starogrodzkiego Albrechta IV wciągnął w plany, a sprowadziwszy go do Dorpatu starał się zapewnić księciu następstwo na swej stolicy bi-

---

[1]) Bunge Cur. Est. Livl. UB. IV, Nr 1368.

[2]) Bunge IV, Nr 1369, p. 33.

skupiej [3]). Król polski przez swój związek z książętami pomorskimi zapewniał niejako poparcie elektowi kapituły. Książę Otto stanął wkrótce w Dorpacie mając związek z Zachodem przez Litwę i Polskę otwarty i zawarł przymierze zaczepno-odporne z Witoldem, wzmocnione takimże związkiem biskupa Teodoryka z W. Ks. Litwy. Skoro nadto Wacław, w marcu 1396 r. wezwał księcia Świętybora do obrony biskupa Teodoryka przeciwko przeciwnikom, chociażby nimi był Zakon Niemiecki [4]), podówczas Teodoryk zaprosił starego arcybiskupa Jana Sintena i kanoników do kraju i począł się sposobić do wojny. Litwini mieli uderzyć od strony Kuronji na Rygę, podczas gdy biskup przy pomocy Rusi miał od zachodu uderzyć celem zajęcia i podbicia kraju.

Tymczasem mistrz odciągnął Witolda od związku zawierając z nim 28 lipca 1396 r. rozejm do św. Michała, przed którym to terminem miano się na zjeździe porozumieć w sprawie zawarcia wieczystego pokoju. Zabezpieczywszy się w taki sposób od Witolda, wysłał potężne wojsko, gdyż 800 kopji liczące, do Inflant, które to wespół z wojskiem landmistrza w ciągu kilku tygodni ogniem i mieczem spustoszyło biskupstwo dorpackie [5]), tak dalece, że tylko same miasto ocalało od zemsty [6]). Witold wówczas począł doradzać przez poselstwa i listy biskupowi dorpackiemu, aby wszedł w zgodę z Zakonem [7])— sprawa Ottona upadła — Wallenrod zwyciężył, dzięki energji i szybkości działania ze strony Zakonu.

Upełnomocniony przez króla Wacława biskup warmiński Henryk starał się tymczasem pogodzić wojujące w Inflantach strony i nietylko, że rozejm ustanowił, ale nadto skłonił strony, że zgodziły się na zjazd, mający w Gdańsku 24 czerwca przyjść do skutku [8]); gdyby tamże sędziowie polubowni spra-

---

[3]) Ib. Nr 1404 SSr. Pr. III, p. 203.

[4]) Ib. Nr 1418.

[5]) Bunge VI, Nr 2930.

[6]) Posilge III, 204.

[7]) Bunge IV. Nr 1425, wprawdzie Posilge III, 203 twierdzi wyraźnie, że Witold oszukał biskupa, któremu odesłał jego dokumenta przymierza, ale wobec tego, że Witold jeszcze w styczniu 1397 r. usiłował, by rozejmem litewsko-pruskim objęty był także biskup Dorpatu (B. IV, Nr 1438), wiadomość Posilgego jest niewiarogodną.

[8]) Posilge III, 210. UB., IV, Nr 1454, 181; Nr 1457, VI, Nr 2937.

wy zgody do skutku nie przywiedli, miano ją zdać na obermana. Istotnie zjazd Gdański przywrócił pokój Inflantom, i biskup dorpacki uznał Wallenroda swym metropolitą.

Wallenrod nie spełnił oczekiwanych nadziei Zakonu i jakkolwiek tak wiele zobowiązany Zakonowi, nie został zawisłym od tegoż wykonawcą woli Zakonu. Przeciwnie, widzimy go, jak usiłuje odpowiednią swej wysokiej godności niezawisłość odzyskać; wnet też wybuchnęły niesnaski pomiędzy nim a landmistrzem, które usiłowano wprawdzie usunąć na kapitule Malborskiej w 1404 r., ale bez rezultatu. W początkach 1405 roku zgodził się wreszcie z landmistrzem Konradem Vietinghofem by na przyszłym zjeździe w Gdańsku wszystkie sporne kwestje załatwiono. Nie powrócił jednak Wallenrod nawet do Inflant, lecz stale przebywał na dworze króla Ruprechta, towarzysząc mu w jego licznych podróżach. Podobnie jak król Ruprecht był i on zwolennikiem Grzegorza XII i wraz z Mateuszem z Krakowa, biskupem Wormacji należał do liczby posłów wysłanych do Pizy z protestem przeciwko zwołanemu tutaj soborowi w 1409 roku. Poczem protestujący byli u Grzegorza XII i przekładali soborowi w Pizie przestrogę, że postępowanie kardynałów zmierza ku tem większej schizmie Kościoła — i po wielu bezowocnych układach, po ogłoszeniu apelacji przeciwko zwołaniu Soboru, opuścili Pizę.

Po śmierci Ruprechta wraca Wallenrod do biskupstwa i okazuje chęć zgody z mistrzem inflanckim. Celem dokonania jej naznaczono też w 1411 r. zjazd do Gdańska; jednakowoż do zgody nie przyszło, o ile że mistrz inflancki nie wysłał nawet swych delegatów.

Po zawarciu pokoju Toruńskiego król rzymski Zygmunt ofiarował się z chęcią utrwalenia zgody i usunięcia wszelkich kwestji spornych pomiędzy Polską a Zakonem zachodzących. Celem załatwienia tych sporów naznaczył Zygmunt termin po Zielonych Świątkach 1412 r. w Budzynie a Wallenrod stał na czele poselstwa krzyżackiego i wśród rokowań kilkumiesięcznych miał sposobność okazania swych dyplomatycznych zdolności. Kiedy Henryk von Plauen postanowił nową podnieść przeciwko Polsce wojnę, Wallenrod widocznie popierający te zamiary, wystawił mistrzowi dokumentowane świadectwo wraz z Henrykiem Reusse Plauenem, bratankiem mi-

strza, i hrabiami Schwarzburgami, Albrechtem i Günterem, że mistrz zmuszony przez Polaków chwyta za broń. W 1414 r. widzimy go wiodącego po stronie krzyżackiej rokowania w Grabiach na południu od Kalisza, z pełnomocnikami polskimi.

Pomimo, że Wallenrod wszędy popierał interesy Zakonu [9]), pomimo to, gorliwsi stronnicy mistrza Plauena, uważali arcybiskupa za sprawcę złożenia tegoż mistrza z godności a nowy mistrz Michał Küchmeister w zaprzeczeniu tej pogłosce wyraził się, że gdyby Plauen był według rady Wallenroda postępował, nie doprowadziłby do złożenia go z godności.

Na sobór do Konstancji wyjechał Wallenrod z olbrzymią świtą, gdyż przy wjeździe jego w dniu 1 grudnia 1414 r. odbytym, naliczono 180 osób w świcie. Był on zarazem i głową reprezentacji Zakonu, składającej się z Deutschmeistra Konrada von Eglofstein, Szatnego Zakonu, z prokuratora Zakonu Piotra Wormditt i dwuch warmińskich kanoników: Jana Abecziera i Kacpra Schauenpfluga. Przybyli oni tutaj, aby przy pomocy i poparciu soboru, Papieża i cesarza uzyskać rozstrzygnięcie sporów z Polską. Przyjęcie jakiego doznali w Konstancji, Jan XXIII kazał ich nawet zaprosić do stołu, pozwalało im mieć nadzieję pomyślnego zakończenia sprawy.

Wiadomo, że nieopatrzna ucieczka Jana XXIII z Konstancji spowodowała, że skłoniono go do abdykcji. Cztery nacje postanowiły zmusić go do tego aktu a sobór wyznaczył z każdej nacji jednego, mającego obowiązek przed soborem objawić zrzeczenie się Jana XXIII ze stolicy — z nacji niemieckiej wyznaczono Wallenroda na owego prokuratora papieskiego — i należał później do liczby tych wysłanników soboru, którzy Jana XXIII do powrotu z Freiburga do Konstancji skłonić mieli.

Co do sporu polsko-pruskiego, to jak wiadomo wlókł się on powoli i dawano ogółem do poznania stronom, iż będzie rozstrzygnięty dopiera po utwierdzeniu jedności w Kościele. Wallenrod dawał do poznania mistrzowi w listach, że bez mamony nie można się spodziewać rychłego i korzystnego końca sprawy. Pismo to nie było jednak szczerem, gdyż o przekup-

---

9) Odrzucił on nawet na radzie mistrza ów dokument króla dotyczący Żmudzi, C. ep. I, 1, Nr 45.

stwie kilku setek ojców i doktorów, książąt i t. p. nie mogło nawet być mowy — ale Wallenrod sam nie miał środków do godnej reprezentacji, Zakon bowiem administrował jego dochodami — i pragnął uzyskać fundusze na opędzenie wielkich kosztów dworu. Zresztą Polacy zdobyli sobie opinję wszystkich ojców soboru tem, że prawie jednomyślnie stanęli po stronie Koncyljarzystów, jak wiadomo mających na soborze przewagę. Dla tej to ostatniej przyczyny protegował ich sam król Zygmunt, przynajmniej pozornie, bo w gruncie rzeczy sprzyjał więcej Zakonowi, który tutaj na soborze w nich miał poparcie swoich zamiarów a prawie równie potrzebnymi byli mu do zasłaniania Węgier na wszelki wypadek od Turków. Wiadomo bowiem, że potajemnie działał król Zygmunt na szkodę Polski, skoro nawet zobowiązał się aktem z 16 lipca 1415 r. sprawę polsko-pruską rozstrzygnąć na korzyść Zakonu [10]).

Z powodu znaczenia, jakiego zażywał Wallenrod u króla Zygmunta, wysłał go do tegoż króla sobór w sierpniu 1415 r. do Francji, z wezwaniem do rychłego ukończenia przedsięwziętego dzieła pacyfikacji królów Francji i Anglji i podjęcia podróży hiszpańskiej do Ferdynanda Aragońskiego i do Benedykta XIII w sprawie jedności Kościoła. Towarzyszył też Wallenrod królowi w podróży do Perpignianu i brał udział w rokowaniach, o których zdawał sprawę ojcom obradującym na soborze. Nieobecność tę Wallenroda na soborze wykorzystali nieprzychylni mu, rozgłaszając nieprawdziwe wieści, jakoby on złożyć miał suknię Zakonu, a posłowie Zakonu wnet podnieśli szereg skarg przeciwko arcybiskupowi nielubionemu i jak się wyrażali wiarołomnemu [11]). Pod koniec marca 1416 r. powrócił Wallenrod do Konstancji, nie towarzysząc już Zygmuntowi w podróży tegoż do Anglji.

Krótko bawiąc w Konstancji wnet już wyjechał do Prus, dokąd go wraz z Fryderykiem Brandenburskim wysłał król Zygmunt w ważnej sprawie. Mieli oni oświadczyć Mistrzowi, że król chętnie go poprze przy utrzymaniu granic Zakonu, ale pod trzema warunkami: 1) jeżeli wszystkie terytorja Zakonu przyjmie jako lenno państwa rzymskiego, 2) jeżeli zastawio-

---

[10]) Lewicki Cod. ep. II, Nr 60.
[11]) v. d. Hardt II, 43.

ny Polakom Spiż napowrót wykupi, tudzież 3) jeżeli zwróci Nową Marchję, zrzekając się sum, które był pod jej zastaw Zygmuntowi wypożyczył [12]). W początkach kwietnia przedłożyli arcybiskup z Fryderykiem życzenie króla Mistrzowi w Malborgu, gdzie przez dni kilka trwały rokowania. Ostatecznie Mistrz odrzucił żądania Zygmunta przystając tylko na odstąpienie Nowej Marchji z wyjątkiem Dramburga i Schiefelbein, które pragnął nadal zatrzymać w zastawie.

W Konstancji otrzymywał dalej od Mistrza wskazówki jakby z najlepszym skutkiem szkodzić Polakom w ich sprawie z Zakonem. Charakterystyczny to rys, że Mistrz prosi arcybiskupa o rozszerzanie pośród ojców Kościoła wiadomości, iż król Polski wynajął żołdaków celem ubieżenia zamku Soldau, że jednak zamach ten komturowie Osterody i Brodnicy udaremnili — albo, że Polacy nie przyjmą wyroku soboru, gdyby im Gdańskiego Pomorza nie przysądzono. Niewiadomo jak sobie Wallenrod postąpił z tak drażliwej natury poleceniem, to pewna, że dawał do poznaina, że te spory polsko-krzyżackie są nudne i trudne do rozstrzygnięcia na soborze, a równocześnie i swoją sprawę z inflanckim Zakonem, zgodnie z kapitułą ryską poddawał raczej pod rozstrzygnięcie starszyźnie w Prusiech, aniżeli tutaj na soborze [13]).

Istotnie jeszcze będąc w Prusiech umówił się, by sprawy tam poruszone za rok, a więc po Zielonych Świątkach w 1417 roku na zjeździe w Gdańsku rozstrzygnięto [14]). Oczywiście szło tutaj o zwrot dóbr arcybiskupich, którymi administrował Zakon inflancki i o zwrot tych, które odjął był od metropolji, gdyż co do zgody z kapitułą oświadczyła ona, że niechce sprawy swej poddawać pod rozstrzygnięcie zjazdu, lecz zdaje ją pod sąd soboru. Prokurator Zakonu chcąc temu, jak się wyrażał „skandalowi" zapobiedz, proponował Wallenrodowi porozumienie się wzajemne bez pośredników w zupełnej tajemnicy. Proponowano też Wallenrodowi wzamian za bogate naddźwińskie kraje metropolji, puszcze i bory nad Niemenkiem i w Semigalji, które teraz pustką bez kolonistów pozostawały

---

12) C. Vit., p. 342—3.
13) B. V., Nr 2036, relacja komtura Tor.
14) B. V., Nr 2062.

i to w taki sposób, aby część z tego kapituła posiadała [15]). Oczywiście Wallenrod wymówił się od takiej łaskawości, a natomiast objawiał życzenia pokrycia przez Zakon wydatków w Konstancji poczynionych, gdyż niemając źródła dla pokrycia, musiał się udawać do szczodrobliwości Mistrza [16]). W ciekawem tem piśmie upraszał też Mistrza o wysłanie na sobór posłów, tudzież podnosił, że należy oświadczyć się albo przy cesarzu albo przy soborze i przy przyszłym Papieżu... ale wyrażał obawę, że zanim się to ułoży, tymczasem rozejm z Polską minie i przyjdzie do wojny... Mistrz wysłał do Konstancji szpitalnika Zakonu Henryka Holta, szatnego Jana Selbacha, komtura Bałgi i kilku rycerzy i mieszczan, ci w połączeniu z innymi pełnomocnikami Zakonu wyjednali u soboru dalsze roczne przedłużenie rozejmu polsko-pruskiego. Rozejm roczny potwierdził król Zygmunt 14 maja 1417 r. w obecności Jana Wallenroda i wielu innych dostojników zakonnych, oświadczając na prośbę pełnomocników polskich i Zakonu, że jako sędzia polubowny w czasie trwania rozejmu załatwi trwałą pomiędzy stronami zgodę [17]).

Wallenrod uczestniczył w aktach tych króla Zygmunta, a nawet należał do liczby tych kardynałów, którzy po stronie polityki Zygmunta stali i według początkowych liter ich episkopatu (Medjolan, Antjochja, Ryga i Salisbury) pod nazwą *Mars* byli znani. Wprawdzie w lipcu zawarł Zygmunt kompromis z kardynałami, że mianowicie jako protektor i obrońca Kościoła będzie ich popierał i że oni też u przyszłego Papieża popierać będą honor i godność króla [18]), i kompromis ten ułatwił sprawę obioru Papieża, atoli zanim to nastąpiło staczał Zygmunt na soborze jeszcze dalsze z Marsem boje, co prawda nie krwawe. Walka toczyła się głównie około zasadniczych kilku pytań, pomiędzy innemi czy reformacja Kościoła ma wyprzedzić obiór Papieża, lub też odwrotnie. Król Zygmunt trzymał za jedno z nacją giermańską, a mianowicie, że reformację należy przed obiorem Papieża przeprowadzić; — po tej stronie stali też Polacy, i głównie dlatego na soborze stałą się

---

[15]) B. V., Nr. 2090, 2094.
[16]) Ib., Nr 2120.
[17]) C. epistol. II, Nr 72, 73.
[18]) Caro Aus der Kanzlei K., S., na p. 41.

Zygmunta cieszyli protekcją. Śmierć Salisburego stanowiła znaczny wyłom w owym Marsie, wywierającym tak znaczny wpływ na starszyznę, — z tą chwilą bowiem Anglicy przeszli na stronę kardynałów energicznie pracujących nad przyśpieszeniem obioru Papieża. Większość teraz stanęła po stronie kardynałów. Wówczas to i arcybiskup Rygi również przystąpił do większości a z nim i biskup z Chur Habundi. Pomawiano ich, że nie uczynili tego bez widoków korzyści, utrzymywano bowiem, że pierwszemu wzamian za arcybiskupstwo ryskie przyobiecał sobór biskupstwo w Leodjum, a biskupowi z Chur Abundiemu obiecano Stolicę w Rydze [19]). Już Hefele powątpiewał w motywa działalności obydwóch biskupów, nie podając zresztą powodów swych wątpliwości. Istotnie trudno posądzić o tak nizkie motywa Wallenroda, o ile, że tenże mając tak lukratywne arcybiskupstwo jakiem było ryskie, nie potrzebował lukratywniejszego; powtóre jak z listu prokuratora Zakonu z 13 maja 1418 r. się dowiadujemy, popierał promocję Wallenroda na Leodjum sam król rzymski, a więc nie stronnictwo przeciwników tego króla, coby niezawodnie miało miejsce, gdyby Wallenrod za poparcie stronnictwa kardynalskiego miał sobie obiecaną Stolicę w Leodjum; dowiadujemy się dalej z tegoż listu, że Wallenrod promował na Rygę swego siostrzana Piotra Schauenburga i że Papież z powodu wieku odmówił Wallenrodowi — a promowanie to nie miałoby miejsca, gdyby stronnictwo kardynalskie, jak to utrzymuje kwestjonowana wersja, obiecało było stolicę ryską Habundiemu i co bardziej, prokurator donosi, że Habundi wcale nawet o Rygę się nie starał, ale czynił zabiegi o Brikseńskie biskupstwo w Tyrolu [20]). I owszem z listu prokuratora wypływa niewątpliwie, że o promocję Wallenroda starał się głównie król Zygmunt, i że tenże także i na obsadzenie Rygi, jako lenna rzymskiego, wpływ wywierał i tym celem Habundiego kandydaturę poparł [21]). Są to wszystko aż nadto wystarczające motywa, aby wersji o chciwości Wallenroda jako motywie do odstąpienia od stronnictwa Zygmuntowego na soborze nie dawać wiary.

---

19) Cons. 7, 1, p. 320.

20) Bunge V., Nr 2234 i 2238.

21) Bunge V., Nr 2262, list Kacpra Schauenpfluga z 26 lipca 1418 r., A. ep. Nr 2259, list prokuratora Zakonu z 22 lipca 1408 r.

Niewątpliwie Wallenrod był znakomitym politykiem u króla Zygmunta wyszkolonym a nadto doświadczonym na trudnem stanowisku arcybiskupa ryskiego i umiał niezawodnie dążenia swe i chęci pokrywać stosowną maską. Przy tem wszystkiem jednak był to mąż wyraźnego pokroju, a już tem samem, że przeszedł z obozu Zygmunta, dążącego do pewnej wyższości nad soborem i nad Papieżem, do obozu kardynalskiego o całkiem przeciwnych dążeniach, świadczy wymownie, że nie o osobistości, ale o zasady walczył Wallenrod — a cały jego stosunek do Zakonu dowodzi również, że pomimo, iż jako członek Zakonu niemieckiego miał poniekąd ręce związane, niemniej jednak umiał bronić swej i swej kapituły powagi od usiłowania Zakonu i mających na celu uszczuplenie ich władzy. Wszakże nie kto inny tylko Wallenrod jakkolwiek był obrońcą Zakonu w sprawach polskich, to jednak miał odwagę publicznie oświadczyć, że Kościół jego ryski był dawniej panią w kraju a dzisiaj służebnicą... była to mowa godna arcybiskupa Rygi. On to zmusił mistrza inflanckiego Landera von Spanheim energicznem swem przeciwko temu postępowaniem, do wysłania na sobór Vogta z Wenden i kilku estlandzkich wasalów dla obrony pretensji Zakonu — tylko szczęśliwemu wypadkowi miał mistrz ten do zawdzięczenia, że sprawa jego z kapitułą ryską nie przyszła pod rozstrzygnięcie soboru — Polacy uprzedzili kanoników wniesieniem swej sprawy. On wreszcie niewątpliwie miał imieniem Zakonu zaprotestować przeciwko erekcji biskupstwa Żmudzkiego, a jednak tego w interesie Kościoła nie uczynił. Mąż, który złożył w Konstancji habit i krzyż Niemieckiego Zakonu i nie zważał na protesty Zakonu przeciwko temu złożeniu wniesione, który odrzucił projekt zgody z Zakonem co do zwierzchnictwa nad Rygą, który wywołał gromkie oklaski soboru oświadczeniem swem, że Kościół w Rydze był dawniej panią w Inflantach a dziś poniżony został do rzędu sługi, taki mąż nie był zdolnym do zakładania protestu przeciwko erekcji biskupstwa żmudzkiego. Może i tutaj należy szukać przyczyny, dla której Wallenrod nie chciał wrócić na Stolicę, na której zaraz za przyjściem miałby rozpocząć walkę z tymi, którzy Kościół poniżyli do rzędu sługi.

Według współczesnego świadectwa [22]) on to wraz z arcybiskupem Gnieznieńskim wielce się zasłużył przy konklave, zjednując ziomków dla większości, która obrała Marcina V. W nowszych czasach wydane źródła a mianowicie dziennik soboru prowadzony przez kardynała Fillastre [23]) nie podaje wprawdzie o owych zasługach Wallenroda i Trąby, atoli ze współczesnej relacji wiadomo, że Wallenrod znalazł w Marcinie V jakoby drugiego ojca [24]) — a jest to świadectwo prokuratora Zakonu, skądinąd niebardzo przychylnie wyrażającego się o arcybiskupie.

Osobistość Wallenroda, wychowanka Zakonu a przecież nie oddanego Mistrzom ani też Zakonowi sługi, męża który całą swą karjerę zawdzięczał Malborgowi a przecież wiernym pozostał Rzymowi, który na trudnem swem stanowisku, zarówno powolnością i ujęciem sobie króla Zygmunta, następnie czynnym udziałem w pracach soboru przez półtrzecia roku trwającym nietylko praw Kościoła swego bronił wobec zakusów Mistrzów, nietylko że wobec świata całego piętnował ich zdrożność w poniżeniu Kościoła inflanckiego do rzędu służebnicy, ale i jako obrońca spraw Kościoła powszechnego wybitne pośród biskupów zajął stanowisko, osobistość taka była wymowną przestrogą dla dalszych zakusów Krzyżackich. Wallenrod lubo słuszne prawa Zakonu popierał na soborze, lubo usiłował nawet podupadły wpływ jego podeprzeć a wojnę wiszącą nad nim ze strony Polski i Litwy oddalić, to jednakowoż z drugiej strony ani nie zawiesza procesu z landmistrzami umową Gdańską usuniętego nieco w przyszłość ani też nie protestuje, gdy sufragan jego metropolji biskup dorpacki Teodoryk Rössler wybrał sobie nie landmistrza ale Witolda opiekunem przeciwko nawałom wschodnich sąsiadów. Sam arcybiskup nie przyjął warunków zgody, lubo przedłożone były przez landmistrza Landera, którego to w ciągu dalszym opowiadania dokładniej poznamy, i jasną jest dla nas przyczyna tego postępowania. Oto w warunkach ugody kazał landmistrz pomieścić i o tem, że gotów nawet uznać zwierzchnictwo arcybi-

---

22) S. d. Hardt IV, p. 1437, Mansi XXVIII, p. 1169.
23) Finke Quellen, p. 233.
24) Voigt XII, 312.

skupa nad Rygą atoli pod warunkiem, że tylko jurysdykcja i dziesięcina rybacka należeć będzie do pasterza, wszystko zaś inne, a mianowicie panowanie nad siłami zbrojnemi w całych Inflantach pozostanie przy Zakonie. Zamiast aprobacji układów w lutym 1418 r. rozeszła się wieść w Konstancji, że arcybiskup ma zamiar abdykować z bogatej swej i ważne stanowisko na północy zajmującej stolicy arcypasterskiej.

Prawdą jest, że z powodu zagarnienia dochodów arcybiskup częstokroć na soborze cierpiał niedostatek, ale nie ten był przyczyną ustąpienia Wallenroda. Ten, który mimo protestów Zakonu złożył w Konstancji habit i krzyż Niemieckiego Zakonu, mimo że w myśl wyroku Bonifacego IX powinien był je nosić, taki mąż widział na wskróś przewrotność Zakonu, jego wrogie przeciwko Kościołowi zwrócone zamiary, jego zachłanność i chciwość skarbów i władzy, a nie widział środków do usunięcia złego. Co bardziej on widział zazdrość i nienasyconą dumę landmistrza Landera, który wiedziony niemi usuwał dobroczynny wpływ Witolda na wschodnie ludy, co bardziej jak Lander, porwany współzawodnictwem począł uciekać się do wprost zgubnych dla sprawy Kościoła i cywilizacji środków, aby wpływ litewski podkopać i zniszczyć. Bystrem okiem patrząc w przyszłość widział, że episkopat inflancki żadną miarą na taki kierunek polityki zgodzić się nie może, że raczej wszelkimi siłami, broniąc sprawy Kościoła i cywilizacji chrześcijańskiej, przeciwko tym planom występować i walczyć musi. Z drugiej strony dla członka kollegjum Marsa nie były tajnemi zamiary nowego Papieża, który za jedno z pierwszych zadań postawił sobie przywrócenie zgody i pokoju na Wschodzie pomiędzy Prusami a Inflantami z jednej a Polską i Litwą z drugiej strony. Nie tajnym był i nacisk ze strony książąt niemieckich na kurję w tym kierunku pokojowym wywierany, nacisk w interesie Zakonu i na skutek jego zabiegów podjęty i jak zobaczymy płodny w rezultaty wprost dla Jagiełły i Witolda szkodliwe a dla sprawy Kościoła zgubne. Czując brak sił do walki, wolał by jej kierownictwo poruczone było siłom do tego zadania sposobniejszym i dlatego ustąpił Wallenrod ze Stolicy swej Rygi — aby zająć Leodyjskie arcybiskupstwo.

Zaledwie do Rygi wieść przybyła o zamiarze Wallenro-

da ustąpienia ze stolicy, Zakon począł myśleć o następcy. Rozpoczęła się wielka krzątanina w tej ważnej dla Zakonu sprawie obsadzenia stolicy, a więc korespondencja pomiędzy wielkim landmistrzem inflanckim, tudzież prokuratorem Zakonu w Rzymie, proponowanie kandydatów, prośby o audjencję u Papieża, rozdzielanie podarunków pomiędzy wybitnych kurjalistów — słowem chciano mieć koniecznie arcybiskupem członka Zakonu Niemieckiego. Nie wiedziano, że następca Wallenroda już był naznaczony, o czem nawet Kacper Schuwenpflug znajdujący się w otoczeniu papieskiem, kapelan Zakonu nic nie wiedział, tak że sam nawet o arcybiskupi paljusz się starał. Nominatem był biskup z Chur Habundi, mąż wytrawny, któremu Papież nie stawił żadnych warunków co do przyjęcia habitu Niemieckiego Zakonu. Zaraz za przybyciem do Inflant zaczął Habundi pracować nad pokojem w duchu zamiarów Marcina V, i podobnie jak poprzednik pełen był największej dla Zakonu życzliwości. Zobaczymy jednak, że i on wnet poznał, że Zakon nie dąży do pokoju ani do rozszerzenia katolicyzmu i cywilizacji, że raczej wojna i władza są hasłami Mistrza. Nie potrzebował on do powzięcia tego przekonania pomocy kanoników ryskich, biskupowi, znawcy stosunków zachodnich wystarczyło jedno naoczne zbadanie stosunków Kościoła swej pieczy powierzonego, aby rozpocząć na nowo walkę w obronie jego. I zanim spostrzegł się prokurator udało się Habundiemu wyjednać cofnięcie wszystkich owych bull Bonifacego IX, któremi Zakon ugruntować pragnął swe nad episkopatem zwierzchnictwo. I rządy Habundiego, podobnie jak i rządy Wallenroda miały być wymownem świadectwem w dziejach, że pomny swego powołania episkopat nie da się zaprząc do zgubnych dla Kościoła i cywilizacji chrześcijańskiej celów, chociażby wywierający nacisk byli tak potężnymi w środki, jakimi byli Krzyżacy. Spór z episkopatem rozpocząć mieli mistrze na nowo, zobaczymy jak on odbił się na sprawach inflanckich tudzież na sprawach Litwy.

(D. c. n.).

Antoni Prochaska.

Miasteczko Choroszcz.

Choroszcz, dziś miasteczko w powiecie Białostockim, gub. Grodzieńskiej, a niegdyś miasto Choroszcza w ziemi Bielskiej, województwie Podlaskim, położone jest w pięknej nadnarwiańskiej okolicy pomiędzy Białymstokiem i Tykocinem, nad rzeczką Choroszczanką. Posiada olbrzymią fabrykę sukna, założoną przez Fryderyka Moesa w 1839 r. Przy fabryce istnieje 4-klasowa szkoła miejska. Liczba mieszkańców wynosi do 5,000, — z których ¾ stanowią polacy, resztę niemcy i żydzi. Miasteczko posiada kościół katolicki, cerkiew i kirchę luterańską.

W r. 1507 Zygmunt Stary, nadając prawa miejskie Choroszczy, zobowiązał miasto dawać królewskiemu wojsku 5 żołnierzy konnych i każdemu rycerzowi po 100 tymfów [1]) podczas wyprawy wojennej. W późnieszych latach m. Choroszcz, jako królewszczyzna, przechodzi do Chodkiewiczów, którzy tu mają swój dwór i pałac. 10 grudnia 1510 r. Aleksander Chodkiewicz, herbu Kościesza, marszałek W. Ks. Lit. po ufundowaniu Bazyljanów w Supraślu, zjeżdża do Gródka [2]) i tam zapisuje klasztorowi Supraślskiemu na wieczne czasy swój „dwór ojczysty i miasto Choroszcz ze wszystkiem, nic sobie nie zosta-

---

[1]) Tymf, dawny pieniądz polski wartości 18 kop.

[2]) Miasteczko w gub. Grodzieńskiej 28 w. od Supraśla.

wiając[3]). W tym czasie musiał już być w Choroszczy kościół katolicki, prawdopodobnie jeszcze fundacji królewskiej, gdyż pomieniony fundator Bazyljanów Supraślskich, czyniąc im zapis na Choroszczy, wspomina o kościele obrządku rzymskiego[4]). Dobrami Choroszczańskiemi władali mnisi przez lat 23, gdyż w r. 1533 Aleksander Chodkiewicz, po uprzedniem uzyskaniu pozwolenia od króla Zygmunta I r. 1529 października 23 dnia, zabiera m. Choroszcz od mnichów, dając wzamian za nią na przepaścistych błotach Podlasia 3 wsie: Chorostków, Klewin i Pużycze (obecnie Baciuty). Według listu Aleksandra Chodkiewicza, pisanego do króla Władysława, zamiana m. Choroszczy na wymienione wsie była uczynioną na wyraźne żądanie mnichów Supraślskich, którzy uskarżali się fundatorowi na wielką ilość karczem, powstałych w Choroszczy, co utrudniało rządzić podwładnymi. Po zabraniu miasta Choroszczy od mnichów supraślskich, Chodkiewicze władali takowem do r. 1587. W grudniu zaś tegoż roku Annie Chodkiewiczównie, córce Grzegorza, wdowie po Pawle Sapieże, przy podziale majątków Chodkiewiczów dostaje się w udziale „połowa miasta i majątku Zabłudowa, zamek i miasto Gródek, dwór i miasto Choroszcz z folwarkami i siołami“[5]). Anna Chodkiewiczówna po śmierci męża swego Pawła Sapiehy, wychodzi za Pawła Paca, wojewodę na Różance i starostę Mścisławskiego, wnosząc mu w posagu wyżej wymienione dobra. Odtąd już m. Choroszcz z przyległemi majętnościami staje się dziedziczną własnością Paców. Tymczasem przeor klasztoru supraślskiego Serazym Welikonty, widząc Choroszcz w ręku Paców i zapomniawszy, że klasztor otrzymał za nią 3 wsie podlaskie, apeluje imieniem całego konwentu do króla Władysława 19 listopada 1634 r. o nieprawne trzymanie przez Paców Choroszczy[6]), „którą A. Chodkiewicz wiecznymi czasy nadał klasztorowi supraślskiemu, a król Zygmunt I przywilejem aprobował i konfirmował“. Ostatecznie sprawę wygrywają Pacowie i m. Choroszcz zostaje przy nich. Po śmier-

---

[3]) Archeograf. Sbornik dokumentów, tom IX, str. 14.
[4]) Tamże.
[5]) Pacowie. Wolfa. Druk. Suszczyńskiego.
[6]) Archeograficzeskij sbor. dokum., tom IX, str. 149—50.

ci Stefana Paca, podkanclerzego W. Ks. Lit., któremu był wytoczony proces przez ihumena supraślskiego, synowie jego Mikołaj-Stefan i Krzysztof w r. 1644 uskuteczniają dział majątkowy. Mikołajowi w czasie podziału przypadły majątki: Dusiaty, m. Choroszcz z folwarkiem Rogowem i kamienica w Wilnie. Po podziale majętności mnóstwo włościan, poddanych klasztorowi supraślskiemu opuszczają wsie i przechodzą do Pacowskiego majątku i m. Choroszczy. Aleksy Dubowicz, archimandryta supraślski znowu wytacza proces M. Pacówi, staroście krzyczewskiemu 20 lutego 1646 r. o zatrzymywanie włościan klasztornych [7]).

Sejm Warszawski w r. 1661 biorąc pod uwagę wszystkie szkody, jakie były wyrządzone w dobrach Choroszczańskich nietylko od wojsk szwedzkich, lecz i przez obozowanie tu wojska królewskiego przy zdobywaniu Tykocina w r. 1657, kasuje wszystkie procesa Mikołaja Paca i uwalnia go zarazem od wszystkich zaległych podatków na Choroszczy [8]). W r. 1652 umiera bezpotomnie nie zrobiwszy testamentu Anna z Paców Sapieżyna, wojewodzina Mścisławska. Majątek jej, wynoszący 200 tys. złp. dostał się braciom — Krzysztofowi i Mikołajowi-Stefanowi po 100 tys. złp. każdemu. Mikołajowi przypadły majętności: Ostrowno w województwie witebskim; Bystreja i Horodnia w województwie połockim. W r. 1654 Mikołaj-Stefan Pac, naówczas wojewoda trocki, otrzymawszy połowę majątków po siostrze, funduje w Choroszczy przy kościele zbudowanym przez jego rodziców Stefana i Marcjanellę Paców, klasztor na 12 OO. Dominikanów „ludzi pobożnych i uczonych, z których ma się pomnażać chwała Boska [9]). Z sumy 100 tys. złp., którą M. Pac otrzymał po śmierci swej siostry, zapisał klasztorowi Choroszczańskiemu 23 tys. złp. na majętności Bystreja „nic z niej nie wyjmując, ani wyłączając“ [10]). Majątek ów miał pozostawać we władaniu Dominikanów do czasu okupienia go przez sukcesorów Fryderyka Sapiehy-Komarowskich. Lecz Komarowscy w r. 1681 zabrali majątek

---

[7]) Tamże, str. 207.
[8]) Volumina legum, tom IV, fol. 804.
[9]) Kopja funduszu OO. Dominikanów w Choroszczy.
[10]) Tamże.

Bystreję bez okupu. Dominikanie choroszczańscy rozpoczęli proces, który ciągnął się długie lata, aż późniejsze wydarzenia krajowe przerwały go, klasztor zaś pomimo licznych wydatków został pozbawiony majętności funduszowej. Oprócz zapisu na Bystrei M. Pac oddał klasztorowi dawny folwark kościelny, składający się z 12 włók ziemi ornej, dołączając do niego 3 wsie: Neroniki, Sienkiewicze i Ogrodniki „ze wszystkiemi w tych wsiach poddanymi, ich żonami, dziećmi i majętnością“ [11]. Nadto pozwolił fundator „ojcom na potrzeby klasztorne wolne mliwo we wszystkich młynach choroskich i wolne łowienie ryb na rzece Narwi Supraśli“ [12]) oraz pobieranie ze dworu swego 200 złp. rocznie na wosk i wino kościelne.

Fundacja OO. Dominikanów choroszczańskich została zatwierdzoną w Warszawie 31 października 1654 r. przez króla Jana Kazimierza, tegoż roku 2 listopada w Grodnie przez ks. biskupa J. Tyszkiewicza, 20 zaś kwietnia 1655 r. w Rzymie przez gienerała Dominikanów Jana de Monnis, a ostatecznie 20 lutego 1662 r. na sejmie Warszawskim przez następującą konstytucję: „Fundusz W-go Mikołaja Paca, Wojewodę Trockiego, w majętności jego wieczystej Choroszczy, w powiecie Grodzieńskim, OO. Dominikanów Ordinis Praedicatorum, według funduszu jego authoritate praesentis conventus za zgodą Wszech Stanów, Salvis oneritus Reipublicae aprobujemy“ [13]. Pierwotny fundusz klasztoru choroszczańskiego z czasem został powiększony przez rozmaite nadania i zapisy legacyjne, jak to: Lwa Sapiehy, Stefana i Stanisława Lewickich, krewnych M. Paca i inne. Według zapisu funduszowego, OO. Dominikanie obowiązani byli codziennie odprawiać Mszę św. za fundatora klasztoru; w poniedziałek za duszę siostry jego Anny Sapieżynej, w piątek zaś Mszę św. z ekzekwiami za duszę jego rodziców, jako fundatorów kościoła.

D. 22 maja 1671 r. po śmierci biskupa wileńskiego Aleksandra Sapiehy Mikołaj-Stefan Pac, wojewoda trocki, zostaje wyniesiony przez króla ku zdumieniu kapituły na stolicę biskupią. Żona jego w tym czasie wstępuje do klasztoru P. P.

---

11) Tamże.
12) Tamże.
13) Volum. legum, tom IV, fol. 894—5.

Benedyktynek w Wilnie, a nominat Pac przyjmuje niższe święcenia, potem jedzie do Rzymu i tam po odbyciu rekolekcji i złożeniu egzaminów zostaje wyświęcony na kapłana. Z Rzymu M. Pac przyjeżdża do Choroszczy i stąd 1 lipca 1673 r. wysyła swoich ekonomów i komisarzy do Wilna w celu zajęcia wszystkich kluczów od dóbr biskupich. Kapituła dowiedziawszy się o powrocie Paca z Rzymu, wysłała dwuch kanoników, zapytując czy nominat-biskup ma breve apostolskie? Od tego czasu rozpoczynają się zatargi Paca, już jako administratora djecezji, z kapitułą. Po długich nareszcie utarczkach nominat Pac udaje się powtórnie do Rzymu i tam otrzymuje w r. 1681 od legata papieskiego Pallavicina konsekrację [14]); z nią się kończą kłótnie i niezgody biskupa z kapitułą.

Po konsekracji biskup Pac nie stary co do wieku, lecz skołatany przeciwnościami, często opuszczał Wilno i wyjeżdżał do ulubionej swej Choroszczy, gdzie śliczny pałac sobie na letnie mieszkanie z pięknym ogrodem założył. Kaplica pałacowa opatrzoną była w kosztowne aparaty, które później, jak również szczerozłoty kielich, puszka i monstrancja dostały się w darze Katedrze wileńskiej, w której skarbcu dotąd się przechowują. Z powodu nadwątlonego zdrowia biskup Pac rzadko wyjeżdżał z Choroszczy, z tego powodu kapituła musiała nieraz wysyłać do biskupa kanonika Zgierskiego w celu zasięgnięcia rady w różnych interesach kościoła. Umarł fundator Choroszczański 8 maja 1684 r. w Rudawie pod Grodnem u siostrzenicy swej Mniszchowej. Wspaniały pogrzeb odbył się w Katedrze wileńskiej, gdzie ciało jego w sklepie pod kaplicą Imienia Maryi zostało złożone [15]). Spadkobiercą i dziedzicem Choroszczy, jak również całego funduszu ś. p. biskupa Paca został J. W. Mniszech, wojewoda bracławski i starosta sanocki. Z pamiątek po biskupie Pacu pozostał w kościele choroszczańskim tylko jego portret: mężczyzna silnej budowy, wąs ma czarny, oko jasne, we fjoletowym mucecie na głowie, na piersiach krzyż biskupi. Pod nim napis taki: „Reverendissimi, Amantissimi mei, Mementote ad Altare Dei. Fundator Cho-

---

[14]) Niesiecki. Herbarz, tom III, fol. 548.

[15]) Żywoty biskupów wileńskich, tom III. Ks. Przyałkowski.

roscensis". W 10 lat po śmierci biskupa przeor klasztoru choroszczańskiego Aleksy Rukiewicz gruntownie restauruje chylący się do upadku kościół, i obok starego klasztoru buduje nowy, również drewniany, do którego się przenoszą zakonnicy; cele zaś starego klasztoru przeznaczają Dominikanie na mieszkania poddanych ze wsi Ogrodników i Neronik. Krótko jednak mieszkali Dominikanie w nowym klasztorze, gdyż w r. 1704 straszliwy pożar nocny obrócił w perzynę jak wyrestaurowany kościół, tak również i zabudowania klasztorne. Z ognia udało się Dominikanom wyratować tylko cudowny obraz Pana Jezusa w Okowach, sprowadzony przez biskupa Paca z Rzymu i kosztowności znajdujące się w celi przeorskiej. Po pożarze gorliwi zakonnicy odbudowali znowu z drzewa jak kościół, tak i klasztor, które już w r. 1708 były skończone.

Podówczas m. Choroszcz należało już do Branickich, gdyż 27 listopada 1703 r. Jerzy Wandalin Mniszech sprzedał je Stefanowi-Mikołajowi Branickiemu i Katarzynie z Sapiehów żonie jego. Nowy dziedzic Chorszczy Jan Klemens Branicki, herbu Gryff, 10 września 1730 r. powiększył fundusz OO. Dominikanów, nadając im znaczne grunta i włości. Chociaż hetman Branicki stale mieszkał w Białymstoku i to miasto tak przyozdobił i podniósł, że znane ono było pod nazwą Wersalu podlaskiego, nie zapominał i o Choroszczy, gdzie zbudował nad Narwią, wśród wielkiego parku, stawów, kanałów i wysp piękny pałac w stylu rokoko. Obok pałacu dwa pawilony piętrowe i dwie takież oficyny wielkich rozmiarów przeznaczone były dla gości, służby i ogromnej kuchni, gdzie, między innymi, istniał komin olbrzymich rozmiarów do pieczenia całych wołów. Na imieniny hetmana, które obchodził 24 czerwca, zjeżdżała się do Choroszczy tak wielka liczba gości z rozmaitych stron Polski, że dla braku miejsca w pałacu i przyległych oficynach musiano rozbijać namioty pod drzewami, okalającemi pałac. Troszcząc się o swą siedzibę miał pieczę Branicki i o konwencie choroszczańskim, gdyż w r. 1756 na prośbę OO. Dominikanów wymurował im klasztor z pięknym istniejącym dotąd kościołem w stylu barokowym. Klasztor zbudowany był w czworobok, dwupiętrowy, długi 101 arszyn, szeroki 14, wysoki 16. Na górnym korytarzu mieściła się

szkoła, 7 celi i bibljoteka, składająca się z 750 tomów; na dolnym było 9 celi, kapitularz i refektarz, który przedstawiał się jako piękna sala o owalnym sklepieniu i 9 oknach. Sufit i ściany refektarza ozdobione były ślicznymi obrazami, malowanymi alfresco, które złość ludzka w ostatnich czasach zniszczyła. Po ukończeniu budowy kościół konsekrował w 1770 r. biskup Ptolomajdy Ludwik-Ignacy de Riacour, a Dominikanie założyli w nowowybudowanym klasztorze szkołę, która zajmowała dwie obszerne sale. Uczniów bywało od 50 do 70, żadnej opłaty nie wnosili; codzienie przed lekcjami słuchali Mszy św., po której następowało czytanie Pisma św., a następnie przez 6 godzin trwał wykład lekcji. W szkole uczono katechizmu, historji św., łaciny, języka polskiego, arytmetyki, gieografji i nauki obyczajów. Ostatnim nauczycielem szkoły klasztornej był ks. Dominik Koczmierowski, który po ukończeniu nauk w Tykocinie, wstąpił do klasztoru sejneńskiego, a następnie po wyświęceniu na kapłana w Warszawie 1805 r. przeniósł się do Choroszczy i tu zajmował urząd nauczyciela przez lat 25.

Obsługiwali Dominikanie świątynię i parafję choroszczańską do r. 1832, w którym na mocy ukazu Cesarskiego opuścili Choroszcz, udając się do Rożanegostoku. Ostatnim przeorem Dominikanów choroszczańskich był ks. Jakób Wiszowaty, ur. się 3 czerwca 1756 r. w Dziekoniu, parafji trzciańskiej, uczył się w Szczuczynie 1769—75 r. wstąpił do zakonu w Choroszczy w r. 1776; po odbyciu nowicjatu i studjach teologicznych został wyświęcony na kapłana w Mohylowie przez biskupa Siestrzeńcewicza, potem spełniał obowiązki profesora w szkołach Zabialskich i Duniłowickich, a w r. 1815 został przeorem w Choroszczy. Po kasacie Dominikanów parafją choroszczańską zarządzają świeccy księża, klasztor zaś został oddany duchownemu prawosławnemu, który dotąd tam mieszka. Kościół w Choroszczy zbudowany pod wezwaniem św. Szczepana 1-go męczennika i św. Jana Chrzciciela; obecnie rozmiary świątyni nie odpowiadają potrzebom 7-tysięcznej parafji. Żadnych pamiątek, prócz kilku ornatów, ofiarowanych przez hetmanowę Branicką i części dawnej bibljoteki klasztornej, kościół nie posiada, gdyż Dominikanie uchodząc do Różanegostoku i bojąc się o losy świątyni, którą prawie

w przeciągu 200 lat obsługiwali, zabrali z sobą kosztowniejsze rzeczy. Główne święta przypadają w kościele choroszczańskim na św. Szczepan, św. Jana Chrzciciela, św. Dominika, N. P. Różańcową i na Nowy Rok.

Obecnymi czasy coraz bardziej zaciera się pamięć o pobycie Dominikanów w Choroszczy; naoczni świadkowie wymierają, teraźniejsze pokolenie mało się interesuje przeszłością, tylko omszałe mury po-klasztorne, a w świątyni obrazy świętych w dominikańskiego zakonu habitach, przywodzą na pamięć dawnych tego miejsca mieszkańców.

Antoni Mackiewicz.

Sześć listów nieznanych Elizy Orzeszkowej do Fr. Rawity Gawrońskiego.

25 VII 1881 Miniewicze.

Szanowny Panie.

Nie proszę o przebaczenie, bo winną nie jestem, jakkolwiek pozory świadczyć przeciw mnie mogą. Rękopis Pana przybył do mnie prawie w przeddzień wyjazdu mego w długą i daleką podróż. Byłam zmęczoną, słabą, potrzebowałam kilku tygodni zupełnego oddalenia się od spraw i sprawek papierowych — wyjechałam zagranicę. Przed kilku zaledwie dniami wróciłam do domu, gdzie znalazłam dwa listy Pana. Rękopisu nie czytałam więc jeszcze. Czy rychły zwrot jego jest koniecznym? W takim razie, spełnię wolę pana, choć z żalem, bo nie sposób mi będzie przeczytać go w dniach właśnie, w których załatwić się muszę z zaniedbaną przez kilka tygodni a obowiązkową robotą. Może jednak pozwoli mi pan zatrzymać pracę swoją przez czas dłuższy, miesiąc jakiś lub trochę więcej? Jeżeli można, proszę o to, bo mylnem jest przypuszczenie pana, że nieszczerą byłam pisząc o humorystycznych szkicach Jego, które zwracałam z żalem. Owszem, całkiem szczerze, zajęły mię one bardzo oryginalnością swą i ujawnionym w nich talentem świeżym, śmiałym, plastycznym; zajęły mię one bar-



Stara rycina Przenajświętszej Panny Maryi Ostrobramskiej oraz rondel przed Ostrą Bramą.

dzo i obudziły dla autora żywą sympatję, na której wyrażenie dotąd czasu nie miałam.

Nie pamiętam czy pisałam Panu także i o tem, że utworom Jego brakuje jeszcze wedle mnie nieco artystycznej harmonji i ścisłości. To jednak, przy talencie i wykształceniu umysłowem, znajduje się wraz z wprawy i doświadczeniem pisarskiem. Szkiców tych drukować nie mogę, jak pisałam, dla bardzo ciemnego ich kolorytu.

Z zupełną słusznością twierdzi Pan, że społeczeństwa z wielu stron chorego oszczędzać i pieścić nie trzeba — bo umrze z anemji i niedołęstwa. Zdaniem tem rządzę się sama jako pisarka absolutnie — jako wydawczyni względnie. Robota nasza Wileńska znajduje się w całkiem wyjątkowych a nieszczęśliwych warunkach. Z góry, z dołu, z boków kąsają nas i gryzą. Jeżeli Panu znajome różne organy prasy Warszawskiej, kąsanie to i gryzienie nie uszło pewnie uwagi Pana. A chcielibyśmy nie dać się zjeść i silnie stanąć na nogach. To i owo więc, mniej ważne, usuwać umiemy tymczasem z programu naszego. Nie jest to obłuda — tylko fakt. Opisać to wszystko w liście — nie sposób, szczególniej, gdy wciąż śpieszyć się trzeba. Kiedyś, w chwili wolniejszej, wytłomaczę się przed panem jaśniej. Idzie mi o jasne wytłómaczenie się, bo myślę, że stosunki nasze chwilowemi nie będą. Przebacz pan otwartość i, jak francuzi mówią, zbyteczną może erudité d'expréssion. Z listów i pism pana wnoszę, że jesteś pan człowiekiem takim, jakich mała u nas liczba a potrzeba wielka. W żaden sposób zgodzić się nie mogę z ostatnim listem pana, że lepiej może zamilknąć i wyrzec się czynnego oddziaływania na ogół. Dla osobistej szczęśliwości pana byłoby to pewnie lepiej. Publiczne działania u nas nie cukierek. Ale wyraz: lepiej, rozmaicie się tłómaczy. W naszej epoce przejściowej, twardej, gorzkiej a jednak dostojnej, gorzej i lepiej mięszają się z sobą tak bardzo, że je częstokroć wspólnie przyjmować trzeba. Walczyć, pracować, cierpieć, w imię idei, w imię sprawiedliwości, czy prawdy, czy wiedzy — co zresztą wszystko mi jedno wychodzi — pierś i czoło wystawiać na pociski lecące często z rąk niegodnych, sercu zabronić używania a głowie spoczynku jest to: gorzej i lepiej, bo ciężej lecz dostojniej.

Myślę, że piszę tu same tylko takie rzeczy, o których Pan

wybornie wie i beze mnie, ale piszę je z celem. Szkiców Panu drukować nie mogłam, prac potem mi nadesłanych jeszcze nie czytałam, mniemam przecież, że, jeśli Pan zechce, wspólność pracy i dążenie wiązać nas będzie. Jestto cała historja następna.

Założywszy w Wilnie polską księgarnię i prowadząc ją tak, aby ona choć trochę grunt i opinję publiczności prowadziła,—wydawszy kilkanaście książek i broszur takich, aby one choć trochę światła w głowach ludzkich robiły — spostrzegliśmy, że robota ta dziwnie powolna, oręży pozbawiona, materjalnie kulawa. Trzeba nam broni, narzędzia, któremi posługuje się teraz cały świat cywilizowany: pisma perjodycznego. Marzymy sobie więc teraz cudownie o jakiejś Gazecie Wileńskiej, przynajmniej o jakimś tygodniku. Trochęśmy już próbowali marzenia te w czyn zamienić — nie udało się. Los nasz ma tę przyjemną właściwość, że to co dla innych jest ziarnkiem piasku, dla nas przemienia się w górę. Nic to. Trzeba próbować i góry podważać. W jesieni, gdy w Petersburgu rozpocznie się znowu, drzemiące przez lato życie oficjalne, gdy wróci tam z letniej wycieczki ktoś bardzo wpływowy a nam przyjazny, próbować będziemy znowu. Znowu wyjadą na stół różne cudze imiona, kupieckie interesy i t. p. obrzydliwości, których dla zrobienia rzeczy dobrej używać trzeba. Jeżeli dźwigniemy górę i otrzymamy koncesję, potrzebować będziemy współpracowników, korespondentów z różnych stron kraju i t. d., ale takich o których trudno, bo tak jak my myślących! Reszty, wszak się Pan doymśla... Są to tylko piękne nadzieje ale, — jak mówi stara piosnka, — czyż bez nadziei możnaby żyć? Z innej strony jest o nadziei jakieś przysłowie bardzo — niemiłe, i nawet co do mnie, przechylam się bardziej na stronę przysłowia niż piosnki. Przechylam się wogóle bardziej na stronę pesymizmu niż optymizmu, i zdaje się, że gdybym znała Hartmanna, żyćbym z nim mogła w serdecznej zgodzie uczuć i myśli. Jednak, cóś tam jest wewnątrz, co pomimo wszystko pcha naprzód, pracować i walczyć każe. Nikt nie zgadnie jak czarno bywa nieraz w głębinach wód, które jednak płyną i płyną i nawet skrzą się i bystro falują na powierzchni. Wracając do pisma wileńskiego, jeżeli istnieć ono będzie, co nieprawdopodobnem nie jest, wszak w Gub. Podol-

skiej, mieć będziemy zapewnionego już sobie, współmyślnego z nami a pełnego talentu spółpracownika? Nieprawdaż?

Jest jedna jeszcze rzecz, która nie pozwala mi odczytywać rękopisów Pana tak prędko jakbym tego pragnęła — oto: strasznie niewyraźne pisanie. Proszę o przebaczenie za otwartość, mniej więcej uprawnioną tem, że sama piszę nieprawdopodobną kaligrafją. Od lat trzech choruję na oczy. Przedtem, nie było dla mnie na świecie niewyraźnego pisma. Teraz przecież, w czytaniu rękopisów wyręczać się muszę kimś, kto ma znacznie mniejszą od mojej wprawę. Idzie to więc tak kulawo i powoli, że rozpacz bierze. Z okropną nieśmiałością wymawiam zapytanie: czyby na przyszłość nie można mieć wyraźniejszych kopji?

Z wysokim szacunkiem i bardzo serdecznie pozdrawiam Pana *El. Orzeszkowa.*

Grodno, 14 X 81.

Szanowny Panie.

Czy przebaczysz mi Pan, że rękopisów Jego, nie odsełam jeszcze? Wielka to ze strony mojej niedelikatność, czuję to i przepraszam za nią; chociaż na uniewinnienie swoje mam wiele rzeczy, których przytaczać nie będę. Gdybym, w tym obowiązku moim, zaniedbała się dla wesołości, wyznałabym to szczerze choć ze skruchą, lecz, — o biedach swoich opowiadać ani umiem ani chcę. Część rękopisu przeczytałam i opuścić go musiałam dla tych bied nieopowiadanych i dla zajęć, które z wielu względów wesołemi też nie są. Więc, parę tygodni jeszcze... Teraz, najpewniej dokończę rozpoczęte czytanie a gdy je skończę napiszę o wszystkiem razem. Dziś, piszę dlatego, że list Pana, tak długo bez odpowiedzi zostający, jak grzech na sumieniu mi leżał.

Niech mię Pan nigdy już nie przeprasza za tę korespondencję zawiązaną i ufność we mnie położoną. Tak listy, jak te prace Pana, które już znam, obudziły we mnie szczerą sympatję. Mówię to szczerze. Przecież, przyczyn do obłudy niema. Nie znamy się i pewnie, znać się nie będziemy nigdy.

Od czasu pewnego, spełniam szczególny rodzaj służby

publicznej, zależący na tem, że corocznie otrzymuję z półtorasta listów od osób nieznanych, z żądaniami przeróżnemi i naturalnie, jak mi stać, odpowiadam na nie. Otóż, pomiędzy temi nieznanemi głosami, głos Pana wyróżnia się dla mnie dźwiękiem sympatyczniejszym, bo może silniejszym, gorętszym nad inne i — w głębi swej smutnym. Wszak sam Pan piszesz, że „serca ludzkie jak dwa echa płynące z daleka, mogą się łączyć w ton jeden“. I to jest prawdą. Pocóż więc mię przepraszać? Jeżeli dla względów światowych, rzecz to marna i ze mną niepotrzebna. Kobietą światową byłam kiedyś i dlatego może być nią niechcę. Pracownicą jestem, ziarnka piasku zapewne noszącą, niemniej, w prostocie, będącej nieunikniona towarzyszką pracy, rozmiłowaną. Po prostu więc mówię Panu: jeżeli kiedy, pisanie do mnie sprawi Panu przyjemność, mnie da ono chwilę dobrą. Więcej zaś mi powolne czytanie pism Pana, przypisz Pan, proszę, naprzód, chorym oczom moim, potem, nieidealnej wyraźności pisma swojego a potem jeszcze różnym obowiązkom i ciężarom życia mego. Kończę o tem. Słówko teraz o smutnych, gorzkich nawet uwagach Pana, nad usposobieniami ogółu naszego i mniemanych jego przewodników. Wiele w nich prawdy — trochę jednak za ciemne są. Niezawodnie, idealizm, sentymentalizm, marzycielstwo i lenistwo ducha, szeroko jeszcze panują między nami i szerokie w piśmiennictwie naszem zajmują miejsce. Warszawa, zarażoną jest niemi, Kraków jeszcze więcej. Połączenie, zsolidaryzowanie katolicyzmu z polskością, wydaje najzgubniejsze owoce a sztandarem tym, przywódzcy umysłowego ruchu, okrywają się szczerze i nieszczerze, przez głupotę i przez pobudki osobistych interesów. Wszystko to prawda — i więcej jeszcze. Prawdą jest jeszcze, że u nas, dziś, każdy swobodnie myślący człowiek ma wiele do zniesienia i zwalczenia, że słowo rozumu i wolnej myśli, wypowiedziane głośno i śmiało, wystawia pierś z której wychodzi, gorzej niż na raniące strzały, bo na pociski ulepione z błota. Ale przeciw prądom tym, przeciw ruchom tym powstają odruchy. Żyjąc na kresach, nie znasz Pan może w szczegółach jej, toczącej się dziś walki i w literaturze i na różnych polach społecznych dziedzin. Ja znowu, żyję w samym jej ogniu, udział w niej biorę, wiem więc, że jest; wzmaga się coraz i lepszą zapowiada przyszłość. Po pro-

stu, w literaturze i publiczności, wytworzyło się już dość silne postępowe stronnictwo, za hasło swe mające: wolność myśli i sumienia, krytykę przeszłości i teraźniejszości, pracę mrówczą i organiczną, równość ludzką, tak w stosunku do kast jak do płci, zdobywanie wiedzy, równanie się na polach różnych z pochodem nowożytnej cywilizacji. W literaturze, stronnictwo to ma bardzo znakomitych dowódzców, jak: Świętochowski, Chmielowski, Spasowicz, Jeż, Karłowicz i t. d. Za nimi, postępuje liczny hufiec żołnierzy pióra. Pisma przedstawiające kierunek ten istnieją: „Ateneum“, „Prawda“, „Przegląd Tygod.“, „Nowiny“. Do nich, przyłączyło się od latu paru Wileńskie wydawnictwo moje, skromne jeszcze rozmiarami ale z bardzo wyraźną barwą. W publiczności, istnienie stronnictwa tego udowadnia się samem już istnieniem pism pomienionych, z których parę, po kilka tysięcy prenumeratorów posiada. Udowadnia się ono jeszcze usposobieniami młodzieży polskiej, wyższych naukowych zakładów. Wiem o tem z pewnością, bo prowadzę korespondencję ze studentami Akademji medycznej i Instytutu technologicznego w Petersburgu i Szkoły Politechnicznej w Rydze. Korespondencji tych nie zawiązywałam naturalnie sama. Z trzech miejsc tych, odezwano się do mnie, jako do jednej z przedstawicielek postępowego ruchu. I ruch naprzód wre tam, przygotowują się świetne materjały przyszłości. Patrjotyczną jest młodzież ta ale w sensie patrjotyzmu rozumnego; dla narodu pracować pragnie swego, ale narzędziami nowemi. Kiedyindziej przyślę Panu kopję ustawy stowarzyszenia politechników Rygskich, nazwanego Arkonją. Ucieszy ona pewnie Pana i jaśniejsze światło rzuci na przyszłość naszą, o której, bądź co bądź, ja nie wątpię. Wiele jest u nas złego i wiele dobrego, wiele słabości i wiele sił. W pętach, robota wszelka trudna. Proste cnoty potrzebują tu nieraz sił większych, niż gdzieindziej bohaterstwo. Proste roboty, zużywają sił więcej, niż gdzieindziej olbrzymie dzieła. Dlatego, wszystko iść musi powoli. Idzie jednak. I poglądy na przeszłość zmieniają się i przyszłość otrzymuje nową uprawę. Po wielkiej burzy ostatniej, musiał nastąpić moment zastoju, a skorzystały zeń dobrze wsteczne żywioły. To też i rozrosły się i walczyć nam teraz trzeba z bohaterami takimi jak np. St. Tarnowski i z głupstwami takiemi, jak pewna

część Warszawsk. dzienników. A jednak, zdaniem mojem, rąk zakładać nie godzi się, ani przez wstręt do zła, dobra odstępować. Ani nadzieja stracona jest ani obowiązek rozwiązanym. Trafi strzała w serce, wyjąć ją, — spadnie garść błota na czoło, zetrzeć ją, a z raną i z plamą,—którą czas zmyje,—walczyć dalej. Pobudką moją w tem, oprócz przekonań, jest jeszcze uczucie, uczucie niewymownej, nie skończonej miłości dla tego wielkiego męczennika, któremu na imię: „naród". Miłość ta wyrasta może z litości. Gdyby nie cierpiał tyle, byłby lepszym i mniej potrzebowałby serc naszych, głów i rąk. Czy wierzysz Pan w chrześcijańskie udoskonalenie się przez cierpienie? Ja, nie. Myślę przeciwnie, że pewne szczególniej gatunki cierpień są gangreną. Pobłażanie dla tych, którzy cierpieli i cierpią strasznie!..

Z szacunkiem i życzliwie pozdrawiam Pana

El. Orzeszkowa.

Grodno, 24 XI 89.

(Z powodu krytyki „Nad Niemnem" w „Kłosach".)

Szanowny Panie.

Nigdy nie dziękowałam łaskawym na mnie krytykom, ale w Pana słowach o „Nad Niemnem" tyle uczułam serdecznego ciepła, braterskich uczuć i wspólnych pojęć, — nasza znajomość jest tak dawną i dla mnie pamiętną, że podziękowanie pomimo woli mojej i przemocy ku Panu się wyrywa. Nie mogę wyrazić go lepiej jak upewnieniem, że sprawił mi Pan bardzo szczęśliwą chwilę. Niektóre ze słów Pana sprawiły mi niespodziankę; mało mam wiary w siebie i nie mniemałam wcale abym napisała rzecz takiej wartości. Skoro jednak Pan ją tak ceni, wierzę, a ta wiara, nietylko raduję mię w tej chwili, ale i na przyszłość zbroi i zobowiązuje.

Pozwalam sobie przesłać żonie Pana bardzo, bardzo serdeczne uściśnienia, a Panu, wraz z upewnieniem wysokiego szacunku, wyrazy głębokiej wdzięczności.

El. Orzeszkowa.

Grodno, 9 III 94

(Odpowiedź na zaproszenie do współpracownictwa do „Słowa Polskiego“. do F. R. Gawrońskiego.)

Szanowny Panie.

Początek listu Pana przypomniał mi adogio greckie: „Czem jest życie? Snem cienia. Czem człowiek? cieniem, który śni“. Jednak są sny pamiętne i cienie, mające dobrą pamięć. Znajomość moja z Szanownym Panem sięga jeszcze czasów szczęśliwych, w których śniła mi się działalność szeroka i może wielka, przez księgarnię wileńską. Ów sen piękny w łeb wziął, jak wiele innych, ale pozostawił ślady, z których jednym jest to, że mam Pana za starego i dobrego znajomego, pomimo, że widzieliśmy się zaledwie parę razy w ciągu tego snu ogólnego, którem jest życie.

O korespondencji naszej i rękopisach jej towarzyszących, o krytyce Pana mojego „Nad Niemnem“, o parokrotnem spotkaniu się naszem w Warszawie, mam wspomnienie najmilsze i trwałe.

Z tego już Pan wniesie, że pragnę bardzo spełnić życzenie Pana, tem bardziej, że cele pisma zakładanego, o których Pan mi pisze, wymownie przemawiają mi do serca i przekonania. Na nieszczęście, teraz nie mogę służyć niczem. W tych dniach skończyłam powieść dużą, która mię wyczerpała. Muszę po niej odpocząć czas jakiś, a potem jeszcze napisać nowelę dla jednego z pism Warszawskich, przyrzeczoną stanowczo i oddawna. Za kilka miesięcy, około jesieni, może przyślę Panu cokolwiek, ale chciałabym bardzo wiedzieć, co mianowicie byłoby dla pisma najwięcej pożądanem. Obrazek? artykulik? Wogóle jakich rozmiarów ma być pismo i co przeważnie w nim będzie: beletrystyka? prace publicystyczne? Przytem, jest wzgląd, który przypominam pamięci Szan. Pana.

Mam pióro w kajdanach. Nie mogę posyłać zagranicę nic takiego, czegoby mi nie pozwoliła drukować cenzura tutejsza, albowiem, gdybym to uczyniła, mnie także posłanoby gdziekolwiek. I bez tego ledwie tu siedzę, gdyż robi się coraz więcej ślizgo i gorąco. A mniemam, że bez względu na interesy własne, powinnam tu być, dopóki tylko nie przestanę być „cieniem, który śni“.

Z całego serca pozdrawiam żonę Pana. Nigdy nie przestanę żałować, że znam ją tak mało, gdyście Państwo mieszkali w Warszawie. Ale ja bardzo rzadko wychylam się w świat szeroki i bardzo mało znam tych, których kocham.

Oczekuję szczegółów bliższych, o których wspomniałam powyżej, do wyrazów szacunku wysokiego łączę serdeczne uściśnienie dłoni.

El. Orzeszkowa.

Grodno, 22 IV 94.

Odpisuję nieprędko, bo pisałam nieustannie, gorączkowo, powieść i nowele, z których jedną może Szanowny Pan zechce wziąć do przedruku dla pisma, będącego pierwszą przyczyną korespondencji naszej. Ta nowela p. t. „Bracia“ wychodzić będzie w „Ateneum“ niewiem jeszcze kiedy, przedrukować zaś ją będzie można wtedy dopiero, gdy „Ateneum“ już ją wydrukuje. Jeżeli tak dobrze, to proszę o słówko wiadomości, a o czasie druku Warszawskiego uwiadomię, gdy tylko sama o nim się dowiem.

Wszystko co Pan mi pisze o sobie interesuje mię niewymownie. Ogromnie wdzięczną jestem Panu za zaufanie. Jak ja do dna rozumiem dzieje Pana! Dziwnym trafem w tej noweli „Bracia“, jest właśnie postać, która wyrzekła się dla idei prawie wszystkiego, cierpi dużo, ciemno myśli i widzi, jednak upiera się przy swojem i innego życia nie chce, bo byłoby gorszem, choć szczęśliwszem. Tacy ludzie stanowią kategorję osobną, żyjących nie dla siebie, cierpiących nie za siebie. Myślę zawsze, że los ludzkości byłby stokroć jeszcze smutniejszym niż jest, gdyby ich nie było. A co im za to? W tem życiu nic a nic, bo nawet zadowolenia wewnętrznego nie mają, obdarzeni sumieniem niesłychanie drażliwem. Ale wie Pan? Coraz częściej i coraz pewniej myślę, że te duchy otrzymają w jakiemś innem istnieniu jakąś wyższą, doskonalszą formę bytu. Inaczej być nie może; inaczej byłby nonsens, a przecież w naturze nie spotykamy nonsensów; dla czegoż więc miałby istnieć tu, gdy idzie o najprzedniejszych ludzi?

Ale to jest historja obszerna, do traktowania w liście

niemożliwa. Jeżeli Pan mi odpowie co myśli o tem w zasadzie, może zamienimy kiedy parę listów w tym przedmiocie.

Do Lwowa przyjechać, ani referatu przysłać nie mogę. Żyję i zdaje mi się, że powinnam do końca żyć w Grodnie, o 4 godz. drogi od Wilna. Posłać lub przeczytać artykuł literacki, który może być wydrukowanym wszędzie, niewarto. Miałabym do powiedzenia mnóstwo rzeczy ciekawych, ale gdybym je powiedziała, musiałabym we Lwowie zostać. Więc znajdą się one w piśmie, które ma być wydrukowanem po śmierci mojej, tymczasem trzeba mi tkwić tutaj do końca.

Najserdeczniej ściskam rękę Pana

El. Orzeszkowa.

Grodno, 4 X 1906.

Szanowny i drogi Panie.

Po wiele razy powtórzyć sobie muszę przysłowie „Mieux vaut tard que jamais", aby zdobyć się na odwagę pisania do Pana... tak późno! tak przeraźliwie późno po otrzymaniu listu, który mię jednak bardzo, bardzo ucieszył, za który bardzo wdzięczną jestem. Różne rzeczy zewnętrzne i wewnętrzne nie pozwalają mi przez całe lato wziąć pióra do ręki, czas upływał, wdzięczność moja milczała. Teraz przemawia podziękowaniem serdecznem. Czy je Pan życzliwie przyjąć zechce? Czy przebaczy mi Pan długie milczenie? Proszę o to i spodziewam się tego. Czy się nie mylę?

List Pana wywołał mi przed duszę żywe wspomnienie czasów, gdy otrzymywałam od Pana z Ukrainy (może z Podola) słowa przyjazne, gdyśmy się niekiedy dzielili z sobą listownie myślami i pisarskiemi pomysłami. Dawne, młode czasy, czasy pracy wysilonej, rzutów ducha wysokich, ufności i wiary, że tą pracą, temi rzutami, podźwignąć, pory życia utrzymać, zbawić można to, co nad wszystko kochane, a ginące. Lata, dziesiątki lat upłynęły i teraz, z oddalenia, ta wiara w skuteczność, w pożyteczność pracy własnej, wydaje mi się złudzeniem. Zwątpienie o sobie nadewszystko, a potrochu i o różnych sprawach ludzkich zakradało się do Psychy mo-

jej już oddawna i teraz w niej mieszka. Dlatego owa jubileuszowa data, z powodu której list Szanownego Pana otrzymałam, więcej daleko zawstydza mię niż cieszy. Moment czasu przytem, wśród którego się znalazła podkłada pod nią tło dziwnie ponure i tragiczne. Nie wiem, przewidzieć niepodobna kiedy i jak skończy się ta tragedja, czy i jakim wyjdzie z niej naród nasz, ale co pewna, że dziś, więcej niż kiedy, jest on w podstawach swych zachwiany, w istnieniu swem zagrożony, niezmierną sumą cierpień dotknięty. Młodzi mogą wiele niedostrzegać, wiele roić i wiele się pocieszać, ale dla wzroków doświadczonych i już widokiem ran i klęsk świata zmordowanych epoka ta jest straszną i do przebywania, ach, jak trudną!

Dziękuję Panu bardzo gorąco i mocno za szczegóły o życiu swojem i swoich. Pamiętnemi są mi chwile krótkie osobistych spotkań z Panem i Szanowną żoną Pana. Obojgu też Państwu przesełam z głębi serca pozdrowienia i życzenia najlepsze, które łączę z wyrazami szacunku wysokiego i ponownych za okazaną mi pamięć podziękowań.

El. Orzeszkowa.

SILVA RERUM.

Zygmunt August Wielki Ks. Litwy.

(Monografja L. Kolankowskiego).

Obszernie zarysowana monografja Zygmunta Augusta jest zarazem historją Litwy do r. 1548, w którym to roku Zygmunt August obejmuje tron polski. Monografja obejmuje trzy rozdziały; pierwszy o młodości Zygmunta Augusta 1520—44; drugi o Litwie w tymże okresie, podczas gdy trzeci mówi o Litwie pod rządami wielkiego Ks. od 1544—48. Osobistość Z. A. maluje autor na szerokim tle dworskiego życia i polityki od czasu, gdy dla dziecka ambitna Bona stara się o Księstwo Głogowskie o Bari a nawet o Medjolan aby się oprzeć w swych zamiarach o zagranicę, jak daje synowi za wychowawcę Silviusa Sycylijczyka i nie dba wcale o gruntowne i dobre wychowanie dziecka. Trzyletni królewicz zostaje 1522 r. uznany wielkim księciem Litwy na wypadek śmierci ojca. Panowie rada uznali dziecię wielkim księciem na znak odrębności Litwy a królowa po śmierci ks. Janusza Mazowieckiego stara się dla syna o lenno Mazowieckie. Wnet dwory francuski i habsburski rozpoczynają zabiegi o swatanie, w październiku 1529 r. podniesiono Z. A. na wielkie księstwo z tem, że gdy przyjdzie do pełnoletności potwierdzi prawa i przywileje a w grudniu tegoż roku senat obrał go królem polskim i dopiero później obiór uzyskuje aprobację szlachty.

Dynastyczną potęgę postanowiono ugruntować skupem ziemi i zagarnięciem władzy, a równoczesnem osłabieniem sejmu . W 1431 r. upoważnił król Bonę do wykupna zastawionych dóbr stołowych tak w Litwie jak i w Kownie. Uraziło to wielmożów, z pośród których Odrowąż, ożeniony z Anną Mazowiecką a wspierany przez Prusy, nie waha się podjąć bój z królową. Królowa dąży do obsadzenia senatu swymi zwolen-

nikami, a skoro się jej to w części udało, senat odmieniony stracił rangę. Szlachta domaga się egzekucji praw, porusza gromadzenie dóbr przez królowę, gani oddawanie urzędów cudzoziemcom, wreszcie grozi nieodebraniem przysięgi od Z. A. i zrywa sejm 1537 r. Ogłoszenie pospolitego ruszenia, wśród takich stosunków było błędem. Pod Lwowem wybuchł rokosz. Żądano dodać ludzi kilku senatorów jako organu nadzorczego — walka pomięrzy królem a Rzptą skończyła się klęską pierwszego; król przyznał, że korona jest własnością narodu i że nie można nią rozporządzać, jak to czyniono 1529 r. Zastrzeżono też konstytucją, że dobra nabyte przez królowę są własnością narodu. Utrudniono królestwu nabycie dóbr, oddając sprawy stąd wynikające pod forum sądów ziemskich.

Na sejm następny szlachta wysłała przywódców rokoszu lwowskiego. Pod warunkiem placet na postulaty 1538 r. obiecywali królowi uchwalić podatek. Król podpisał akt gwarantujący elekcyjność korony polskiej a izba uchwaliła podatek i zebrano zań wojsko zaciężne przeciwko Wołoszy. Tatarzy stali na granicy południowo-wschodniej a Soliman zbliżał się do granic polskich. Takie były stosunki zewnętrzne przed objęciem rządów przez Zygmunta Augusta.

Od złożenia przysięgi na konstytucję obu państw rozpoczyna Z. A. nowy okres życia. 1538 r. nastąpiło jego małżeństwo z Elżbietą Rakuszanką, wyjechał jednak na Litwę bez żony. Zewnętrzne Litwy stosunki nie były wówczas wesołe.

Jeszcze w 1534 r. zwołał był król sejm do Wilna celem obmyślenia wojny z Moskwą. Podwyższono podatek; mimo to środki na wojnę były bardziej aniżeli skromne, stąd i armja była małą; chciano skorzystać z niezgody stryjów małoletniego Iwana, ale Moskwa była dobrze przygotowaną i gdy Litwa z niczem powróciła z wyprawy, Moskwa wystąpiła z ofenzywą i spustoszyła Litwę aż po litewski Nowogródek. Przybył hetman Tarnowski z wojskiem koronnem pod Rzeczycę, Tatarzy uderzyli na Moskwę; zajęto Poczepów, Radohoszcz, Starodub ale do odbudowania Staroduba nie przyszło. Piotr Mołdawski uderzył wówczas na Pokucie. Przekonał się Zygmunt, że wojny z Moskwą nie można toczyć siłami Litwy samej i jej pospolitego ruszenia. Szukano sposobu przerwania walki i w połowie lutego 1537 r. zawarto pięcioletni rozejm z Moskwą. Wprawdzie król przygotowywał się do nowej wojny po wyjściu rozejmu, podczas gdy Moskwa starała się o przymierze z Krymem, do wojny jednak nie przyszło i sposobność dobrą opuszczono a to z powodu zgonu Zapolji i odmiany stosunków na Węgrzech. Odtęd Litwa musi bronić bytu swego wobec napierającej na nią Moskwy i tu znajduje autor polityczną przyczynę odstąpienia całych terytorjów litewskich Koronie.

Zewnętrznym tym stosunkom odpowiadają wewnętrzne, nacechowane olbrzymią przewagą możnowładztwa na sejmie, w radzie, w zarządzie, podczas gdy szlachta żyje w strasznym ucisku. Bona pragnie przyjść z pomocą szlachcie, lecz projekt sądownictwa ziem-

skiego, przez nią 1536 r. poparty, upadł. Przewaga możnowładców daje się uczuć miastom. Na czele skompletowanej rady stanął 1544 roku Zygmunt August. Tylko tytuł supremus dux zachował sobie król stary i zarząd skarbem równie jak władzę zwierzchniczą, oddając zresztą Litwę pod władzę syna. Z tą chwilą Litwa nosi na sobie cechy zerwania z Koroną wspólnego życia wśród stosunków zewnętrznych wcale obu państwom nieprzychylnych. Front bowiem turecki przesuwa się ku granicom polsko-litewskim, nawet wrogi Polsce Piotr Mołdawski zbliża się do Polski, której interwencja zaledwie zdołała skłonić Turków do zaprzestania fortyfikowania Bałakławy. Także i na północy Zygmunt August biernie się zachowywał, mianowicie wobec Inflant. Wprawdzie biskup wileński radził interewnjować w sprawie arcyibskupstwa Rygi, objętego przez brata Albrechta pruskiego, ks. Wilhelma, ale Zygmunt bojąc się protestantyzacji Inflant przez owego Wilhelma, nie popiera tegoż. Wobec tego udanie się Albrechta pruskiego i brata jego Wilhelma do Wilna 1546 r. aby tak Zygmunta jako też i syna nakłonić do dania pomocy protestantom w Niemczech spełzło bezowocnie.

Młody Zygmunt August, podobnie jak ojciec, nie sprzyjał ruchowi szlachty litewskiej a opierając się na radzie wielkoksiążęcej 1544 r. odsunął projekt ograniczenia sądownictwa panów rady a wprowadzenia sądów powiatowych, obieralnych. Tylko r. 1547 potwierdził Zygmunt August ziemi bielskiej używanie prawa polskiego narówni z ziemią drohicką i mielnicką. Dążenie do społecznych urządzeń jakie były w Koronie odbija się także na żądaniu wspólnej z Koroną monety. Toż sprawy ekonomiczne zaznaczają się uporządkowaniem monety przez wycofanie złej monety świdnickiej i przez podział skarbu na nadworny i wielkoksiążęcy —pierwszy syna, drugi ojca własność stanowiący. Podskarbi Hornostaj składa rachunki publiczne z zawiadowanego przezeń skarbu wielkoksiążęcego a więc i z serebszczyzny. Przeciętny dochód skarbowy oblicza autor na 28 tysięcy kóp groszy. Dochód Zygmunta Augusta sięgał sumy 70 tysięcy złp. a więc wysokości dochodu ojca pobieranego z Korony. Dwór też Z. A., a właściwie dwa dwory, gdyż królowej Elżbiety Rakuszanki, żony jego, stał na stopie królewskiej — pełno było służby dworskiej, panien dworskich, masztalerzy itp. W stajniach wileńskich stało 167 koni pociągowych, 219 wierzchowców, 10 wielbłądów; w remizach 27 rydwanów obsługiwanych przez 58 służby.

Pożycie króla z małżonką nie było szczęśliwem, czemu winną była skłoność Zygmunta Augusta ku Barbarze Gasztołdowej, wobec czego śmierć królowej 15 czerwca 1545 r. była dla niej prawdziwym wyzwoleniem. Król nie czuł straty, oddawał się maskaradom, igrzyskom, wreszcie namiętnie polowaniu, tak że 1546 r. 223 dni przepędził na łowach w białowieskiej, birsztańskiej i innych puszczach. Oczywiście, że w taki sposób zmarnotrawiono posag królowej, wynoszący sto tysięcy dukatów. Co

prawda założył Zygmunt August w Wilnie początki galerji obrazów i bibljotekę — a odbudował także zamek niższy.

Wprawdzie ks. Albrecht pruski pragnął wydać córkę swą za Zygmunta Augusta, jednak po śmierci żony pogrążył się król w kole Radziwiłłowskiej rodziny a w latach 1546—7 stosunki z Barbarą wdową po Gasztołdzie z domu Radziwiłłówną zaniepokajają miłośników ojczyzny. Radziwiłłowie skłonili króla do poślubienia wdowy. Jeszcze w połowie listopada 1547 r. nie wiedzieli dworzanie o tajnie odbytym ślubie Zygmunta Augusta i Barbary. Dowiedzieli się wnet o tem król i królowa Bona, która to zapatrując się na małżeństwo to ze stanowiska politycznego, pisała że musi być ono początkiem upadku państwa.

Nie o unieważnienie związku szło tylko, ale także o niedopuszczenie utwierdzenia się na wielkim Księstwie nowej dziedzicznej rodziny; godzono się przeto na małżeństwo, z warunkiem, że potomstwo z Barbary nie będzie miało praw dziedzicznych, tudzież, że Litwa zostanie zjednoczona z Koroną. Już się przygotowywał Zygmunt August do odprawienia świetnych godów i do przedstawienia Barbary radzie, gdy w tem 8 kwietnia 1548 r. umiera król, a Zygmunt August jako koronowany król Polski wyjeżdża do swego nowego państwa. Jako pan Litwy niczem nie krępowany, poprzestał na zawiadomieniu rady litewskiej o swem małżeństwie.

Bogata w treść i w naukowe wyniki książka osnuta jest przeważnie na tle maetrjału archiwalnego i zawiera ważne i ciekawe daty do życia dworskiego na Litwie, do stosunków jej politycznych zwłaszcza z Moskwą, do układów, rokowań itp. Widzimy różnorodne objawy żywo pulsującego życia politycznego i społecznego — a przed oczyma naszemi snują się historyczne postacie mądrego Zygmunta, gospodarnej i bystrej Bony i ich niedbale wychowanego Zygmunta Augusta, z całym szeregiem senatorów, biskupów i innych historycznych postaci. Przy końcu dzieła pomieścił autor szereg map, wykazujących dokładnie granice Litwy z Koroną, Inflantami, Moskwą itd., wreszcie ryciny Zygmunta I u schyłku życia, dalej Bony i Zygmunta Augusta z medalów G. M. Padovana.

A. P—ska.

Dwa listy ks. hr. Hieronima Strojnowskiego, biskupa wileńskiego.

W znajdującej się w archiwum kościelnem w Wołkowysku, oprawnej książce p. t. „Ukazy Konsystorskie, Zalecenia, Przedpisania, tak JW. Pasterza, iako też JEgo Zastępcy, do Dziekana Wołkowyskiego z Roku 1809", wśród innych papierów urzędowych, przechowuje się pismo biskupa wileńskiego, ks. hr. Hieronima Strojnowskiego, do ówczesnego dziekana wołkowyskiego, ks. Krzysztofa Korzeniewskiego. Pismo to, chociaż wyszło z kurji biskupiej w Petersburgu, gdzie wówczas rezydował Ordynarjusz wileński, i opatrzone jest numerem podwójnym (wyjścia i odebrania), nosi na sobie wyraźny charakter listu prywatnego. Stosuje się to w zupełności do obu podanych tu listów.

I.

„Nr. 71.

Odebrano 27 Xbra.

„Illustris adm. Rnde Dne!

„Nie tylko mnie, ale i wielu osobom tu w S-t. Petersbourgu znayduiącym się iest dobrze wiadomo, że WWMCPan przetłumaczyłeś na ięzyk Polski Dzieło JWo ImX-a Metropolity Naszego, o Historyi Tauryiskiéy czyli Krymskiéy, i wszystkim iest rzeczą dziwną, że to dzieło w ięzyku Polskim dotąd z druku niewyszło. A lubo teraz obydwa Urzędowémi obowiązkami zaięci iesteśmy, niegodzi się Nam iednak zapominać i o pracach literackich, którym tak wielka część wieku Naszego poświęcona była. Upraszam przeto WWMCPana abyś raczył dawne Przedsiewzięcie swoie do skutku przyprowadzić, i dać poznać Rodakom tak piękne i użyteczne dzieło.

Jestem z nieodmienną przychylnością i Poważaniem.

Illustris adm Rndae Dntuis Vrae

Addictus Servus in Dmno

H. Stroynowski Epp."

(nb. od słowa „Addictus etc." własnoręcznie przez ks. Biskupa).

„Nr. 1318
dnia 13 Grudnia 1809
St. Petersburg
JX. Korzeniewski

Dziekan i Pleban Wołkowyski".

W temże archiwum, w księdze oprawnej i zatytułowanej „Ukazy, Przedpisania y Kommunikacye z Roku 1810", znajdujemy drugi list, charakteryzujący ówczesne poglądy naszych literatów.

II.

„Nr. 6.

odebrano 14 Februar.

„Illustris adm Rnde Dne!

„Bardzo się cieszę z téy wiadomości którą odbieram od WWMC Pana pod dniem 31 X-bra Roku zeszłego, iż pierwszy Tom Dzieła Historyi Taurycklėy ma bydź wkrótce do druku podany. Co się tycze pisowni, trzeba ią zachować taką iaka dotąd była, stosownie do Książek Elementarnych, które były wydane staraniem Bywszéy Polskiéy Kommisyi Edukacyinéy; cale zaś nienależy naśladować w pisowni niniéyszych nowości, które od nikogo nie są autoryzowane; a JX-a Profesora Golańskiego zostawimy przy iego zdaniu, którego on się może trzymać w swoich pismach i drukach, ale które nie są prawidłem dla wszystkich Polaków. Gdy także Tom drugi wyidzie z Cenzury Uniwersytetu, iakiekolwiek i czyiekolwiek uwagi nad słowami Polskiemi, lub ich pisownią, nie mogą bydź prawidłem obowiązującym, lecz tylko przychylną radą, którey wykonanie zależy od woli i zdania samego autora lub Tłumacza.

Jestem z prawdziwą przychylnością i poważaniem

Perillustris adm Rndae Dntuis Vrae.

Addictissimus Servus in Dmno

H. Stroynowski Epp."

(nb. poczynając od słowa: „Addictissimus etc." własnoręcznie przez ks. Biskupa).

„Nr. 64.
dnia 1 Februarij 1810
S. Petersbourg:
Jm. X. Korzeniewski
Dziekan Wołkowyski.

Podał **Ks. Wł Tołoczko.**

NASZE ILUSTRACJE.

Tabernaculum w Katedrze wileńskiej. Dużo prawdziwych skarbów sztuki, przez szerszą publiczność nieznanych lub niedocenianych mieści się w naszych świątyniach. W niniejszym numerze podajemy reprodukcję drzwiczek do tabernaculum w wielkim ołtarzu Katedry wileńskiej. O pochodzeniu tego prawdziwego arcydzieła źródła podają bardzo szczupłe i po części sprzeczne wiadomości. Prawdopodobnie jest to dar biskupa K. Brzostowskiego (1686—1722), który ofiarował Katedrze dużo srebrnych aparatów. Robota prawdopodobnie augsburska, XVII wieku, jak to wskazują niektóre szczegóły, zwłaszcza typowo barokowe kolumienki. Drzwiczki składają się z dwuch części, które być może później nawet zostały połączone, dolna część przedstawia wieczerzę Pańską, górna umywanie nóg z widokiem na ogród Oliwny.

Rondel za Ostrą Bramą. Typową częścią dawnych fortyfikacji miejskich był tak zw. „rondel". Wspaniały jego okaz zachował się w Krakowie za bramą Florjańską. Niewątpliwie posiadały też bramy wileńskie swe rondele. Istnieje przypuszczenie, że obecna dzwonnica katedralna zbudowana właśnie na takim rondelu.

Podczas robót kanalizacyjnych tego roku natrafiono na fundamenta za Ostrą Bramą, pochodzące również prawdopodobnie od takiej fortyfikacji. Przypuszczenie to stało się pewnością, gdy archiwarjusz miasta naszego p. Studnicki odnalazł we Wrocławiu stary plan Wilna, pochodzący z XVII wieku, na którym wyraźnie oznaczona podobna okrągła fortyfikacja za Ostrą Bramą. Obecnie zaś użyczył nam znany zbieracz p. Szutinas starej, niezmiernie rzadkiej ryciny, przedstawia ona Ostrą Bramę z wizerunkiem Przenajświętszej Panny, na pierwszym zaś planie, bardzo szczegółowo odtworzony rondel, czyli okrągła fortyfikacja, która służyła ku obronie bramy.



Tabernaculum srebrne w głównym ołtarzu Katedry wileńskiej.